

Institute of Polish Studies
Lübeck

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



Budapeszt. Jezioro w parku miejskim.

WARSZAWA

ROK VI

CZERWIEC—1932

PRZEGLĄD KATOLICKI

Tygodnik, przeznaczony dla duchowieństwa i inteligencji, omawia sprawy religijne, kulturalne i społeczne w świetle zasad katolickich.

PRZEGLĄD KATOLICKI

służy sprawie umocnienia kultury katolickiej w Polsce, omawia wszystkie bieżące zagadnienia życia publicznego z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej, przeciwstawiając się napaściom na religię ze strony wrogów Kościoła.

PRZEGLĄD KATOLICKI

podjął energiczną propagandę Akcji Katolickiej tego prawdziwie opatrnościowego dzieła dla odrodzenia religijności w naszych czasach, poświęca też wiele uwagi zagadnieniom chrześcijańskiego małżeństwa.

PRZEGLĄD KATOLICKI

jest niezbędny w rękę każdego duszpasterza, działacza społecznego jako informator wszechstronny, redagowany barwnie i żywo.

Redaktor ks. dr. Józef Zawidzki.

Do współpracowników zaliczają się m. in. J. E. ks. Bkp. Kubina, J. E. ks. Bkp. Lisowski, J. E. ks. Bkp. Szlagowski, ks. prof. Grabowski, ks. Kwiatkowski, ks. prof. Kozubski, ks. prof. Styger, ks. prof. Józef Kruszyński, rektor Un. Lub. ks. dr. J. Pastuszka, prof. U. W., ks. dr. prof. E. Dąbrowski, ks. N. Cieszyński z Poznania, ks. dr. E. Kulesza, ks. dr. A. Roszkowski, ks. Z. Wądołowski, ks. dr. Kazimierowicz z Pińska.

P. dr. Holder-Eggerowa, p. Z. Zaleska, p. A. Zahorska, hr. J. Tyszkiewicz, hr. H. Tarnowski, dr. M. K. Morawski, dr. E. Rewerowski, dr. Tomanek, prof. W. S. H. we Lwowie, O. Halecki, prof. U. W., H. Romanowski, J. Czarnecki i inni.

Redakcja, Warszawa, Krak. Przedmieście Nr. 71.

Cena prenumeraty rocznie 24 zł.

Dla kleryków, studentów i seminarzystów 50% zniżki

WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW

Warszawa Krak. Przedm. 71.

Poleca następujące książki religijne, naukowe, powieściowe dla dzieci, młodzieży i dorosłych

- Dwór i chata.** Wzruszająca opowieść o skrzywdzonej dziewczynie, która jednak odzyskała swoje prawa. 2 tomy 2,90
- Dziecię puszczy** (powieść) — Ks. Paślawski 2,50
- Irusia.** powieść Ks. St. Paślawski 3,00
- Jagusia.** Historia dziewczynki ze wsi, która zmuszona szukać zajęcia w wielkim mieście i tutaj nie utraciła wiary i przy pomocy św. Tercał pogodziła poważnione małżeństwo 1.
- Jak zabiłam moje dziecko.** Opowieść 3,50
- Judyta.** Opowiadanie biblijne 1,50
- Kalista.** Opowiadanie z prześladowania chrześcijan w północnej Afryce w pierwszych wiekach chrześcijaństwa 2,20
- Na pograniczu Arabji.** Opowiadanie z podróży 1,60
- Na rozdrożu** (powieść) — Hieronim Zaleski 3,50
- Niewidoma.** Wzruszająca historia niewidomej dziewczynki z czasów prześladowania katolików w Irlandji 1,80
- Syn rozbójnika** (powieść) — W. Grochowska 2,—
- Rycerz Chrystusowy.** Opowiadania historyczne osnute na tle życia św. Wójciecha 4,25
- Tajemnica spowiedzi.** Ciężkie przejścia kapłana, który pomimo wszystko dochował wiernie tajemnicy spow. edzi. 3,—
- Tunka.** Ciężkie przejścia kapłanów zesłanych na Syberję 3,50
- Wójtówna** Nadzwyczajnie piękna opowieść z życia ludu na wsi. 3,—
- W pętach guślarzy** (powieść) — Ks. Skolaster P. S. M. 2,45
- W ręce ojca.** Szereg budujących opisów ostatnich chwil życia tak mężów sławnych, jak i takich, którzy w ostatniej chwili doznali łaski miłosierdzia Bożego 3,50

Zamawiać można pod adresem:

WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71,
Skrzynka pocztowa 450

Świat murzyński

zł. 3.70

Autor—długoletni misjonarz w dalekich krajach—opisuje w swego rodzaju trylogji swą podróż apostolską do Afryki, swój czteroletni pobyt wśród synów Czarnego Łądu, ich życie i obyczaje. Przed oczyma czytelnika przesuwa się ów egzotyczny świat murzyński tak plastycznie przedstawiony, jak gdyby polski czytelnik razem z misjonarzem wędrował.

Ks. Józef Spillmann

Tajemnica spowiedzi

zł. 3.—

Są książki, które nigdy nie tracą na aktualności, które—można powiedzieć—nigdy się nie starzeją. Do takich książek należy powieść Tajemnica spowiedzi, która doczekała się w polskim języku obecnie już czwartego nowego wydania.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł. 700, 1/2 — zł. 380, 1/4 — zł. 200, 1/8 — zł. 120, 1/16 — zł. 70, 1/32 — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 10	Czechosłowacja	kor. cz. 60
Niemcy	R. mk. 8	Ameryka	dolary 2
Francja	frank 35	Inne kraje	fr. szw. 10

PÓLROCZNA prenumerata w Polsce — 5 zł.: KWARTALNA — 2.50 zł. Cena Cena PGJEDYŃCZEGO numeru 1 — zł.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefony Administracji: 240-15 Redakcji 436-18, P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3 — 5 po poł. rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA



MIESIĘCZNIK
LUSTROWANY

ROK VI. WARSZAWA, CZERWIEC 1932



Budapeszt. Widok z góry św. Gotarda.

BYĆ GOTOWYM...

*Na fali dziejów wspomnienie mi znane
Tej wielkiej chwili, kiedy wspólnym losom
Polska i Węgry były powiązane...
Przeszłość mię wola dziś potężnym głosem.*

*Wstań, patrz uważnie w zamierzchle obrazy...
Jedną koroną dwa państwa objęte.
Choć jednym mieczem, dwakroć silniej razi
Stefan Batory, w oburzeniu świętem*

*Gromi zdraźdiecką Moskwę, co się waży
Z czasem na zbrodnię rozbiorów, a Bema
Zgniecie w uścisku śmiertelnym i wrażym...
I Polski cały wiek w Europie niema...*

*Dziś losów wyrok przeciw Węgom działa.
Ta chwila dziejów, która Polsce wieści
Radość i wolność, w Węgrach smutkiem pała.
Serca ich pełne są tragicznej treści...*

*Więc w takiej chwili życzliwy Wam rzecze,
Póki nadzieja w sercu nie zginęła,
I póki rozum znaczy coś na świecie,
Narodowego nie porzućcie dzieła...*

*Może się zjawi nam drugi Batory,
Co nowe myśli w ludzkie rzuci głowy
Historję popchnie wręcz na nowe tory.
Trza tylko wierzyć, czekać, być gotowym.*

STEFAN RADOST.

NA PRZEŁOMIE DZIEJÓW

Pamiętamy wszyscy, jak pod koniec wojny Edward Benesz rzucał na całą Europę hasło: *Detruisez l'Autriche!* Chodziło o tę monarchję, o której Napoleon powiedział, że gdyby jej nie było, należałoby ją stworzyć, a ktoś, bynajmniej nie żartem, nazwał Małą Ligą Narodów.

Lecz w owej chwili nie oglądano się na nic. A Clemenceau, jeden z sygnatarjuszy traktatów, zapewne zapomniał o słowach zwycięzcy z pod Austerlitz.

Ludzie byli tak zadowoleni, że zniszczenia małej Ligi Narodów, że czempredziej założyli wielką Ligę Narodów, z siedzibą w Genewie i z zasięgiem nieomal kosmicznym. Oczywiście było to tak wiele, że aż prawie nic. Liga Narodów, stróż traktatów, kwitła na grobie Austro-Węgier w sposób anemiczny. Przeszkadzała ona ich wskrzeszeniu, choć nie przeszkadza różnym *changement*, gdy chodzi o Fiume, Kłajpedę, lub Mandzurję. Jest tak wielka, kosmiczna, że w małych rzeczach nieużyteczna. Jest nieomal metafizyczną fikcją i umiera z dnia na dzień na sclerosa diplomatica.

Oczywiście w tem ujęciu jest pewna przesada, ale gdy tak syntetycznie podmałowaliśmy Europę i jej politykę, widać, jakie to stare próchno.

Kiedy wielkie idee zawiodły, wysunięto mniejsze: Najpierw Paneuropa, ale i te buty były za obszerne na nogi rzeczywistości.

Wówczas Francuz Tardieu, kto wie, może inspirowany przez ducha Napoleona, rzucił hasło unji naddunajskiej, czyli powrotu do zmodyfikowanej koncepcji Austro-Węgier.

Tak więc w 13 latach po zgonie Austro-Węgier, rzucono hasło *restitutio ad integrum*.

13 lat potrzebnych na stwierdzenie, że zrobiono ongiś głupstwo, to sub *specie historiae* nie wiele, ale to aż nadto, jak na nerwy jednego pokolenia.

Historja ma swe paradoksy i lubi stroić ironiczne grymasy do tych, co chcą zbyt generalnie rozwiązywać ludzkie sprawy. Żalodne to widowisko, gdy po kilkunastu bezowocnych latach polityka europejska wraca do swego punktu wyjścia.

Co stąd wynika?

Stosunki środkowo-wschodnio-europejskie oczekują na właściwe zaspokojenie. Sytuacja tej części Europy nie jest ustalona o tyle, że kraje nowopowstałe lub rozszerzone po wojnie nie czują się bezpieczne w klezczach politycznej i gospodarczej ekspansji Niemiec i Rosji.

Wyczuwa się więc potrzebę wysunięcia jakiejś zdrowej koncepcji, która mogłaby powiązać tę część Europy w jedną całość polityczno-gospodarczą.

Myśl tego rodzaju wysuwa właśnie redakcja „Naszej Przyszłości“ w postaci bloku dziewięciu państw: Łotwy, Estonji, Litwy, Polski, Rumunii, Węgier, Czechosłowacji, Jugosławji i Bułgarji.

Chodzi tu o pewną formę przymierza polityczno-militarnego, a także i kollaboracji gospodarczej. Ta ostatnia część ma już właściwie swe precedensy w postaci bloku agrarnego, który okazał się pomysłem zdrowym, odpowiadającym żywotnym interesom omawianych państw.

Blok wschodnio-centrowy, obejmując blisko 100 milionów ludzi, byłby wzajemną asekuracją dla jego

członków, wzmocniłby ich prestiż jako całości wobec groźnych sąsiadów, a także wobec mocarstw, które bawią się interesami wschodnio-europejskimi i naddunajskimi w tenisa dyplomatycznego. Ułatwiałby zapatrzenie w kredyty i t. p.

Koncepcja wysunięta przez „Naszą Przyszłość“ nie jest megalomańska, trzyma się granic i potrzeb rzeczywistości i choć na jej drodze jest wiele trudności i to wcale poważnych, ale nie mniej raczej przewyżczalnych. Nawet gdyby ta kollaboracja nie przybrała zbyt konkretnych organizacyjnych kształtów, już jako pewna idea, ma wartość orientacyjną i kierunkową w tak płynnej dziś europejskiej polityce.

Płynnej dlatego, że nie opartej na doświadczeniu historycznym, ba, działającej nieraz wbrew jego wskazaniom.

Koncepcja bloku wschodniego nawiązuje do najpiękniejszej epoki polskich dziejów, do tradycji jagiellońskich, kiedy to Polska była ośrodkiem Wschodu europejskiego, gwarantką jego bezpieczeństwa i kiedy obejmowała wpływami dynastycznymi liczne państwa, dziś właśnie wymieniane na członków bloku. Koncepcja ta ma pewne zalety, które są jednocześnie jej wadami.

Oczywista jest rzecz, że idea bloku, jako szersza, wiąże się z likwidacją istniejącej obecnie Małej Ententy, stanowiącej wyraz zbyt bezwzględnego stosowania hasła *detruisez l'Autriche*. *Nie znaczy to, że dążeniem ma być przywrócenie Austro-Węgier. Wręcz przeciwnie, wprowadzając do bloku Węgry, a odcinając Austrię, petryfikujemy raz na zawsze obecny stan rzeczy, uzyskany przez traktaty pokojowe.*

I to jest jej zaleta a także i wada.

Wynika ona z założenia, że Austrię nie minie Anschluss z Niemcami. Można nań nawet zezwolić, choćby za indultem, jednak w tymże momencie powinien powstać blok wschodni. 66 milj. wzmocnionych Niemiec chcemy przeciwstawić 100 milj. członków bloku. Wprowadzając zaś do bloku Węgry i stępując ostrze wymierzone przeciw nim Małej Ententy, dajemy temu nieszczęsnemu krajowi widoki dalszej egzystencji i słusznej rekompensaty jego strat.

Drugą zaletą i wadą koncepcji bloku jest, że wprowadza on do swego grona Bułgarję. Jak wiemy, projekt francuski wykluczał Bułgarję z unji naddunajskiej. Znana jest wszystkim rola Bułgarji w ostatniej wojnie światowej. To też francuskie załatwienie mogło w tym wypadku ucieszyć jedynie Berlin. Przygarniając Bułgarję, blok powiększa bezpieczeństwo swej całości, której zawsze grozić może niemiecki atak okrężny z południa.

Trzecią zaletą i wadą bloku jest, że wlicza on do swego składu Litwę. Polska ma z nią stosunki napięte. Jest to owoc intrygi obcej. Lecz stosunki te mają swą wymowną analogję dziejową. Przecież Witold, brat Jagiełły, także kumał się z Krzyżakami przeciw interesom swej własnej ojczyzny a z groźbą dla Polski. Lecz potem przyszły inne czasy, doszło do prawdziwej entente cordiale polsko-litewskiej i Witold był jednym z tych, którzy gromem swego miecza dokonali zwycięstwa pod Grunwaldem. Na obrazie Matejki wypełnia on nawet centrum kompozycji, jest on w wizji (Dokończenie na str. 168).

JESZCZE O LITERATURZE

Nawiązując do artykułu p. t. „Literatura katolicka”, ogłoszonego w numerze październikowym „Rodziny Polskiej”, pozwolę sobie dorzucić garść własnych i zebranych na ten temat uwag. Istotnie, zagadnienie katolickiego piśmiennictwa jest nader doniosłe i ważne. Wołania o twórczość literacką, opartą na zasadach katolickich, są coraz częstsze — ale mimo to jakoś nie możemy zauważyć żywszego tempa rozwoju katolickiej literatury w Polsce.

Mamy szereg pisarzy stojących na gruncie zasad wiary i etyki Chrystusowej, ale, poza niektórymi, czuje się u nich jakby lęk pisania wyraźnie w duchu katolickim. Jakby podświadomie pokutuje u nich jeszcze duch owych czasów, kiedy „nie wypadało” pisać „po katolicku”.

Nietylko to. Ale także konsumenci, czytelnicy sami wolą zawsze jeszcze w przeważającej części autorów i książki, którym do katolickiego a niejednokrotnie nawet do chrześcijańskiego światopoglądu bardzo daleko.

Co jest przyczyną takiego stanu rzeczy? Autor cytowanego artykułu upatruje ją przedewszystkiem w braku rozpowszechniania filozofji katolickiej wśród elity polskiej. Kwestja niewątpliwie bardzo ważna. Jednakże wydaje mi się ona być niewystarczającą. Mam wrażenie, że obok propagandy katolickiego sposobu myślenia (filozofji), powinien kroczyć pewien duch ascezy katolickiej, tej ascezy, która w wiekach średnich w uosobieniu św. Franciszka z Assyżu towarzyszyła głębi umysłowej „Summy teologicznej”. Konieczną jest rzeczą, żebyśmy wszyscy, i ci, co piórem władają i ci, co spełniają rolę konsumentów, żebyśmy wszyscy nietylko musieli myśleć po katolicku, ale byli w zupełności *przejęci* zasadami naszej wiary. *Przeżywać* musimy Chrystusa, *przeżywać* program Jego Królestwa — a wtedy i czyny nasze, i plody nasze umysłowe odpowiadać będą wymaganiom, które dzisiaj stawiamy. Są to zasady dla wszelkiej działalności, a więc i dla twórczości literackiej.

Biorąc rzecz bardziej konkretnie — czego należy żądać od pisarza katolickiego? Czy wolno mu pisać o wszystkim? Czy są kwestje, których mu ruszać nie wolno? Jak, w jaki sposób należy poszczególne zagadnienia ująć, opisać? Pytania, które wymagają szerszego omówienia, co, rzecz oczywista, w ramach jednego artykułu jest niemożliwym. Dlatego tylko króciutko zwrócę uwagę na niektóre sprawy.

Jedna uwaga nasunęła mi się czytając zdanie autora w artyk. „Literatura katolicka” o obecnym renesansie katolicyzmu we Francji. Jeśli dobrze zrozumiałem, chodzi tam także, a może przedewszystkiem, o odrodzenie literatury katolickiej we Francji. Owszem, lata powojenne były świadkami niezwykłego wzrostu francuskiego piśmiennictwa katolickiego. Jednakże, jak stwierdziło niedawno wychodzące w Brukseli pismo „Revue Catholique des idées et faits”, odczuwa się już dzisiaj pewną, że tak powiem dekadencję tej literatury katol., pewne, acz powolne, opuszczanie lotu i —

zniżanie się ku dołowi. Przyczyną zaś tego jest m. in. wybujały indywidualizm, subiektywizm u autorów katolickich. Wygórowany kult pojedynczej osobowości kazał zapomnieć o społeczności, która przecież jest także w mniejszym czy większym stopniu czynnikiem współdziałającym w twórczości pisarza czy poety. Stąd wnioszek dla literatów katolickich, żeby dzieło sztuki przystosowywać także celom i interesom społeczności ludzkiej. Pod tym kątem widzenia literatura różni się, n. p. od filozofji — abstrahując od środków — tem, że musi być podporządkowana prawom sztuki, piękna. Piękno zaś łączy się jak najściślej z prawdą. Wobec tego literatura, jako sztuka, musi stać w służbie prawdy. Dla katolickiej twórczości powinno być dewizą zdanie Pawła Claudel’a, że „muza nie jest niczem innym, jak łaska” (ob. o tem w „Schönere Zukunft” R. VII, Nr. 2, str. 45).

Pisarzowi katolickiemu wolno pisać o *wszystkiem*. Każde zagadnienie, każde spostrzeżenie może być tematem jego utworu. Chodzi jedynie o to, by całość ujął z *punktu widzenia chrześcijańskiego, katolickiego*. Omawiany temat musi być umieszczony na płaszczyźnie katolickiego sposobu myślenia. Ani na chwilę nie wolno mu zejść z tronu wiary i etyki Chrystusowej. Może nawet słówkiem nie wspominać ani Boga, ani jakiegokolwiek czynności religijnej czy liturgicznej, byleby duch dzieła był zgodny z nauką Bożą. Podkreślić należy także i to, że chybiony byłby utwór, którego autor w pewnym „przeczeniu religijnem” pomijałby zupełnie t. zw. element ziemski, obracając się tylko i jedynie w sferze metafizyki. Dla nas ludzi, pątników po ziemskim padole, zaznajających co krok głogi i osty tej leż doliny, z prawdziwą korzyścią może być tylko taki utwór, który w założeniu swem wychodzić będzie od tego, co nas otacza. Z ziemi wychodząc, boskim ma nas prowadzić szlakiem ku odwiecznej P r a w d z i e. Poeta, łaską bożą obdarzony, przewodniczyć nam winien na drodze ku doskonałości, ku umiłowaniu Prawdy i Piękna. Dzieło jego, jako utwór artystyczny o zasadach Chrystusowych — to latarnia oświetlająca nam skalną ścieżynę ku szczytom Szlachetności.

Do tego wszystkiego zaś poeta czy pisarz — katolik zdolny będzie dopiero wówczas, gdy połączy w sobie i św. Tomasza z Akwinu i św. Franciszka z Assyżu. Tomistyczna filozofja w połączeniu z franciszkańską ascezą — to najlepsza rękojmia powodzenia katolickiej literatury.

Ale te dwa czynniki powinny być nietylko u twórców, lecz także u konsumentów, czytelników — o czem mówiłem na początku. Zwłaszcza muszą one cechować tych, co w naszych czasach w wielkim stopniu wpływają na charakter literatury, t. zn. krytyków literackich. Bądź co bądź autor w mniejszym czy większym stopniu liczy się z opinią krytyki. Stąd jednym z zasadniczych postulatów w zagadnieniu literatury katolickiej jest należycie postawiona krytyka literacka. Ale o tem kiedy indziej.

A. F. Kowalkowski.



Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

TAJEMNICA TRÓJCY.

Zyją, działają w łonie Bóstwa potęgi niezrównane. Treść ich wewnętrzna, zasada najgłębsza uchyla się z przed zrozumienia naszego umysłu. Rozum tu musi *wierzyć*.

Cóż zresztą dziwnego, że musi wierzyć Bogu? Tyłkroć wierzyć musi w sferze rzeczy widzialnych, ludzkich! Wierzyć musi umysł równy równemu — nikt sam wszystkiego nie zbada — wierzyć musi tembardziej umysł niższy umysłowi wyższemu. Prostak nie pojmie głębi wywodów mędrca, a jednak przyjmuje prawdę, oparty na jego rzetelnem słowie. Byłby godzien politowania, gdyby mówił: „To nieprawda, bo ja tego nie rozumiem!”

Istnieje zasadnicze stopniowanie umysłowości. Najniższy stopień, to rozum w pieluszkach. Z czasem umysł się rozwija, sięga coraz wyżej, dalej, szerzej, głębiej w dziedzinie prawdy. Lecz nie ogarnia wszystkiego. Dochodzi do pewnych granic i tam zatrzymać się musi. Odtąd kolej na umysł istoty wyższej.

Umysły wszystkich mędrców przewyższa jeden umysł anioła. Nie zależy on w poznawaniu prawdy od kształtów materji. Chwyta bezpośrednio istotę rzeczy. Lecz i anioł, władca prawdy niewidzialnego świata, staje u kresu poznania. I on zapożyczyć się musi u Apostoła narodów, by zawołać: „O głębokości bogactw i wiedzy Bożej! Jak nieogarnione sądy, jak niedościgłe są drogi Jego!”

Natrafił na dziedzinę Bóstwa.

Umysły mędrców i aniołów przewyższa swą nieskończonością Najwyższy Rozum, Mądrość Uosobiona — Słowo Boga. Ono zamyka i wieńczy skalę umysłów...

Zadaniem rozumu jest osiąść, ogarnąć prawdę. Prawda, jako taka, jest nieskończoną. Stąd zasiężność umysłu w nieskończoność iść musi, by nieskończoną Prawdę ogarnąć. Zatem w świecie, w którym jest Prawda nieskończona, musi być i Umysł Nieskończony. I On jest u Boga na łonie wieczności i na świecie był... Przyszedł do swoich i świadczył o Bogu, jak wiedział i widział: „Ja w Ojcu, a Ojciec jest we mnie”...

Oznajmił światu najgłębszą tajemnicę. Tajemnicę Trójcy św.

Tylko wiarą przyjąć ją można. Rozum ludzki, ani anielski nie zgłębi jej nigdy. Może ją sobie jedynie uprzystępnąć. Jak? — Najlepiej rozpatrując jej obraz, jej wizerunek żywy, jej fotografię niejako, rękę Stwórcy w świecie uczynioną.

Gdzież ów obraz Trójcy Boga znajduje się na ziemi? W którym wieku się ukazał? W czyje ręce go złożono?

Było to wówczas, gdy Stwórca rzekł: „Uczynimy człowieka na obraz i podobieństwo nasze!... Duszę każdą uczynił Bóg na podobieństwo własne. Złożył w niej obraz Trójcy, jej fotografię wierną, dokładną, żywą.

I dusza moja nosi ten obraz w sobie. Jedna jest i niepodzielna, a przecież jakby troista. Oto, gdy świadomość moja i pamięć ogarnia mnie i wszystko moje, wówczas nie mówię: „Lewą stroną swjej duszy wiem to, pamiętam owo“ — lecz mówię: „Ja to wiem, ja (cały) to pamiętam”...

A gdy jakąś rzecz, jaką prawdę już uświadomioną sobie i już pamiętaną usuwuję z głębi rozumem, wówczas nie mówię: „Prawą stroną duszy zrozumiałem“ — lecz mówię: „Ja to rozumiem — ja cały!”

A gdy przedmiot uświadomiony i zrozumiany umiłąę wtedy mówię podobnie: „Ja kocham... duszą całą!”

Tak więc jedna i ta sama, *cała dusza*, wie, rozumie, kocha. Za każdym razem jest inna. Inna jest, gdy wie, pamięta, — inna, gdy rozumuje i zgłębia, — inna, gdy swój przedmiot ogarnia miłością płomienną. A jednak w każdym z tych wypadków jest przecież tą samą. Jedna i troista. Jedna w swjej istocie, troista w przejawach tej istoty. Nosi w sobie doskonały i dokładny obraz Trójcy.

Dokładny tak dalece, że nawet odzwierciedla pochodzenie Osób Trójcy.

Wiara nas uczy, że Syn, Mądrość i Rozum, pochodzi od Ojca, rodząc się z Niego. A u nas jak się dzieje? Czy można coś zrozumieć, nie będąc tego świadomym? I u nas rozum rodzi się dopiero ze świadomości, pamięci. A jak w naszej duszy, tak i na łonie Trójcy rodzenie to jest duchowe.

Wiara dalej uczy, że Duch św. — Miłość — pochodzi od Ojca i Syna. A w naszej duszy skąd wypływa miłość? Czy można kochać głęboko, nie uświadomiwszy sobie przedmiotu ukochania, nie zrozumiawszy go przynajmniej trochę? Nie można. Świadomość i rozum, razem wzięte, powodują miłość w duszy naszej. Tak też i w Bogu. Ta tylko wielka zachodzi różnica pomiędzy duszą i Bogiem, że w niej władze pozostają władzami, podczas, gdy w Bogu, porwane w jakiś wir Nieskończoności, i Rozum i Miłość i Samo ich źródła Boże, tak urastają, do takiego dochodzą rozkwitu, że stają się Osobami. Uzyskują samodzielność i wyodrębnienie własne na łonie jednego Bóstwa. Jedną pozostaje Natura, troistą jawi się w Osobach.

Nic nie wskórają mędracy tego świata! Choćby im dano czaszkę tak szeroką, jak obwód globu, nie zrozumieją. Ale też choćby wszystkimi językami przeczyli Prawdzie, słysząc o Bogu z Boga, Bogu Prawdziwym z Boga Prawdziwego, Doskonałym z Doskonałego... zaprzeczy im dusza ich własna. Powie: „Zamilknijcie! Jam jest podobieństwem Jego. Obraz Jego żywy i wierny noszę na swem łonie”...

Nietylko w światłości nieprzystępnej i w chwale wieczności mieszka Pan... Przebywa i na świecie...

W każdej duszy, na obraz Swoją uczynionej...

Zyją, działają w łonie Bóstwa potęgi niewysłowione!



PROF. BENESIC

Kola kulturalne Warszawy uczęciły niedawno 30 lecie działalności prof. Benesica na polu zbliżenia polsko-jugosłowiańskiego, a blisko trzyletniej jego działalności osobistej w Warszawie, jako delegata ministerstwa, a raczej nieoficjalnego ambasadora współpracy kulturalnej obu narodów.

Prof. Benesic jest niezwykle postacią ze względu na swe żywiołowe wprost zainteresowanie polskością. Dobrze mu jest żyć w atmosferze polskiej kultury i bez tej atmosfery nie wyobraża sobie niemal życia.

A choć się skarży na nasz klimat, niebezpieczny dla jego płuc, to przecież właściwym klimatem jego życia duchowego jest polska kultura. W niej widzi oparcie dla swych zainteresowań. Tu go coś ciągnie intuicyjnie. Prof. Benesic jest poprostu Polakiem z ducha żyje pełnią życia w związku z naszą kulturą. Tak on sam to wyznał w swej arcykawkowej, okraszzonej bestroskim humorem „spowiedzi publicznej”, wygłoszonej na akademii w Radzie miejskiej.

Lat temu trzydzieści, jako młody student zawitał po raz pierwszy do War-

szawy, by być tu świadkiem, jak kozacka sotnia nahajkami rozpędziła i stratowała kopytami manifestację 3 majową.

Lecz Benesica pociągnęło przede wszystkim piękno polskiej literatury. Pod tym względem był jej zapalonym a całkowicie bezinteresownym kontemplatorem. Z tego umiłowania zrodziła się chęć tłumaczenia na język ojczysty arcydzieł literatury. Pisarza porywał tu sam żywioł artystycznej pracy, bez względu na żadne życiowe rachuby. To też prof. Benesic tłumaczy niektóre dzieła np. Wyspiańskiego po kilka razy, zawsze z myślą o osiągnięciu jak największej, kongenjalnej doskonałości w odtworzeniu myśli polskich poetów.

A potem popłynęły szeroką falą przekłady z polskiego, obejmujące rozległą skalę od Kochanowskiego aż do Wyspiańskiego, lirykę, epos, dramat, powieść, nowelę. Nowi i dawni wszyscy najcelniejsi autorzy znaleźli swój wyraz i swe miejsce w tej olbrzymiej antologii, liczącej przeszło 50 pozycji.

Jako dyrektor teatru w Zagrzebiu prof. Benesic nie ominął żadnej okazji wystawienia polskiego dramatu czy ko-

medji. Był Wyspiański, Żeromski, Kiedrzyński, Perzyński, Nałkowska, Winawer.

Wystawił nawet w swej gorliwości „Warszawiankę”, Wyspiańskiego. Czuł się tak Polakiem, że nie mógł wątpić, iż „Warszawiankę” zrozumie każdy Jugosłowianin. Że jej nie rozumiano, nie jego w tem wina.

W tym jednym fakcie jest cały profesor Benesic ze swą pochłaniającą pasją dla rzeczy polskich, dla dzieł polskiej myśli, z wczuciem się głębokim w atmosferę naszego życia kulturalnego i narodowego. Ma jakby dwie dusze, a więc może sobie powiedzieć, że owe 30 lat oddane w rycerską służbę polskiemu duchowi liczą mu się podwójnie.

Trudno za tę wierną przyjazną pracę nie czczyć go i nie składać choć najskromniejszych wyrazów uznania. Zresztą on tego nie potrzebuje, jak dąb nie potrzebuje uznania, że jest dębem a nie brzozą. Po rozległych konarach twórczości kulturalnej prof. Benesica snuje się jednak wawrzyn przyjaznej wdzięczności oddanej mu polskiej opinii.

J. Cz.

AI. ŚREDNICKI.

HISTORJA JEDNEJ KSIĄŻKI

Narodziła się książka polska łzami i krwią serdeczną piśnianą na pergaminie wiary w uczucia najświętsze. Narodziła się w ciszy poddasza, w wysokiej samotni zapatrzonej zalcawionym okiem szyb w przedziwną złotem haftowaną szafirową tkaninę nieba, rozpostartą nad ubożuchną kolebką nowonarodzonej.

I stanęła cicha, skromniutka w przezroczej tunice pragnień przezczystych. Nie zachwycała blaskiem płomiennych kinkietów kabaretowych, odorem półnagich rozpętanych orggą ciał, szalem wyuzdanej perwersji, hukiem skrytobójczych strzałów, tajemniczym mordem w trupim blasku latarni gazowych. Nieumazana błotem scieków rymstokowych wielkiego miasta, niezłażdaczona, nie wyswiechtana w atlasach wielkomiejskich lupanarów.

Narodziła się pełna pogody duszy słonecznej, pełna zapachu rozkwitłego kwiecia, piękna płomiennym duchem młodości, przezczysta, jak kropla rosy porannej, rozśpiewana pieśni melodją czystą, jak dźwięk srebrzysty dzwonek.

Natchniona była i pełna ducha twórcy, wpatrzonego goręciami oczyma w swe dzieło, bólem serdecznym wykarmione najwspanialszy owoc duszy uskrzydłonej, trzepoczącej się w lekliwej trosce o los tworu całego życia.

Uśmiechnięta, radosna, rozejrzała się po iskrzących kryształach zakrzepłych w sople lodowe ścianach „pałacu” niskiego poddasza w którym ujrzała świat uludy i nędzy wysrebrzonej poświęcając księżycowej amplii.

— A oto pan mój i twórcza — pomyślała patrząc na wyblakły cień człowieka pochylonego nad nią.

I ogarnął ją nagły lęk i zwątpienie.

— Azali ten mógł tchnąć w nią promienie i piękno?

I ujrzała niespokojnie w głąb duszy swojej i zdumiała się, zrozumiaławszy jak wielkie są w niej myśli i ukochania, jak

wielki jest cel jej. Zrozumiała, że to wszystko, co w nią tchnęło jest pieśnią najwspanialszą, bólem i radością najwyższą życia.

A zrozumiałwszy — uczuła się tak wielką w swej prostocie, że bez drżenia stanąć mogła w szeregach najwspanialszych dzieł twórczych ludzkiego ducha.

I poszli w drogę ku różanym świtom nadziei.

Ciężka to była droga i mozolna, pełna drwin i uwag złośliwych, bolesnych upokorzeń i gasnącej z dniem każdym nadziei.

— Piękna książka — chwalono z pobłażliwym uśmiechem, piękna pięknością, z którą dziś spotkać się trudno, za piękna nawet dla dzisiejszego czytelnika, a przez to za mało zrozumiała. To dobre było w ósmnastym, dziewiętnastym stuleciu. Za wiele pogody, za słonecznie za romantycznie, ot co. Bardzo żałujemy ale...

I znów dalej gładkie słowa z wysokiego trybunału kramarskiego intelektu.

— Hm, dobra rzecz, niech zostanie, zobaczymy, może... Narazie niema o tem mowy. Liczymy jednak, że zalewająca nas fala przekładów obcych minie, wówczas może znajdziemy sposób aby dać światu pańskie dzieło, bądź co bądź godne wyróżnienia — tłumaczył pocieszająco dobroduszny pan, patrząc z politowaniem na wynędzniałe, zabiedzone dziecię Apollina.

— Nie trzeba tracić nadziei — dorzucamo za odchodzącym. Nadziei nie stracił, lecz zbyt wielką była jego nędza, by sama nadzieja mogła mu wystarczyć.

I oto w cichej, wysokiej samotni poddasza, wysrebrzonej blaskiem księżycy, dokonała się jedna z wielu tragedj. Zarłoczna paszcza życia duszy polegnęła swą ofiarę, by po czasie rzucić na opuszczony, zapomniany, porośnięty chwastem grób, blask sławy.



Matka Boża Włodzimierska. (Kopia cudami wstawionego oryginału z w XII) Wiek XIV. Szkoła Suzdańsko-nowogrodzka.

Ikona — kojarzy się w naszej świadomości z wyobrażeniem ciemnych plam barwy, ujętych w bogatą ornamentykę, złotych lub srebrnych blach, ozdobionych klejnotami.

Ornamentyka tego rodzaju, zasłaniająca gros powierzchni ikony, — narzuca się oczom widza, jako składnik zasadniczy i nieodzowny.

W istocie rzeczy jest to tylko dodatek.

Blachy owe, zasłaniające malurę, pojawiać się poczęły dopiero w końcu XVI wieku, jako wyraz i przejaw „pobożnego zbarbaryzowania smaku“, jak pisał zmarły w r. 1920 książę Eugenjusz Trubecki, autor głębokiego studjum o religijnym światopoglądzie dawnych malarzy rosyjskich.

„Odkrycie“ ikony jest dziełem lat ostatnich.

Zapoczątkowane bezpośrednio przed wybuchem wojny światowej, — badania Kondakowa i Grabara rozwijały się równorzędnie z postępami prac restauracyjnych.

Dopiero usunięcie blach, pokrywających powierzchnię ikony, oraz przemalowań późniejszych wraz z warstwami brudu i pyłu wiekowego — umożliwiło studja nad dawną sztuką rosyjską, a zarazem ujawniło istotne wartości ikony.

Echem prac Kondakowa i rezultatem badań lat ostatnich — jest szereg gruntownych studjów o starym malarstwie cerkiewnym, opublikowanych w Niemczech w latach 1926—1931 (dr. F. Halle, J. Arseniew, Trubecki, F. Schweinfurth).

BOLSZEWICY

Drugi ośrodek badań tworzy Seminarjum Kondakowianum w Pradze, trzeci, najważniejszy znajduje się w Moskwie, gdzie warsztatami restauracyjnymi kieruje J. Grabar.

Centralny instytut badań i ochrony zabytków w Sowietach — „Z. G. R. M.“ (Zentralnye Gosudarstwennye Restaurazionnye Masterskie) przeprowadził w ostatnim dziesięcioleciu planową restaurację szeregu malowideł monumentalnych oraz poważnej ilości ikon.

Urządzona przed dwoma laty w Berlinie, Kolonii, Hamburgu i w Frankfurcie nad Menem wystawa ikon — pozwoliła badaczom zachodnim zapoznać się bliżej z metodami i rezultatami prac restauracyjnych Grabara, a zarazem dała impuls do szeregu publikacji o przeszłości rosyjskiej.

Stosunek władz sowieckich dla problemów konserwacji zabytków sztuki, — sztuki — par excellence — religijnej, kościelnej, — zobrazował komisarz oświaty A. Łunaczarski we wstępie do katalogu wystawy ikon.

„Zdawałoby się — pisze wymieniony organizator i motor główny ruchów bezbożniczych w Rosji, — „że opieka nad przeszłością i zabytkami jest negacją całkowitą ideologii proletariatu, jego skrajnie materialistycznej filozofji i praktycznego wyłącznie światopoglądu.

Do dnia obecnego odzywają się głosy wykazujące szkodliwość konserwacji zabytków architektury kościelnej i malarstwa cerkiewnego. Głosy te są konsekwencją żywotności starego światopoglądu.

Część przedstawicieli naszego regimu widzi w sztuce cer-



Św. Jerzy. Szkoła moskiewska w. XVI.

I IKONY

kiewnej potęgę, sprzymierzoną z dawnym ustrojem, z dawnym, a wciąż jeszcze żywym, światopoglądem.

Zastrzeżenia te i obawy nie są jednak uzasadnione. Religja bowiem jest zupełnie naturalnym wyrazem określonych epok, przejawem niezadowolenia z życia, tęsknoty za innym światem, wyrazem nadziei i wiary w szczęście.

W sumie, uczucia te wywołują gwałtowne napięcie sił twórczych i w ten sposób rodzi się sztuka religijna.

Kiedy do głosu przychodzą klasy nowe i podejmują walkę z klasami dotychczas panującymi, nienawiść przeciwko staremu światopoglądowi rzuca — rzecz prosta, głęboki cień na sztukę, sprzymierzoną z walczącymi jeszcze bogami.

Gdy jednak bogowie ci wreszcie pogrążą się w nicotę i w zapomnienie, gdy pozostanie po nich jedynie piękna forma, wtedy stają się nieszkodliwi i nabierają dla nas znaczenia przewodników po tym świecie zagasłej raz na zawsze — przeszłości, stają się źródłem wzruszeń estetycznych.

Wychodząc z tych założeń, władze sowieckie zdecydowały się otoczyć należyłą opieką zabytki dawnej sztuki cerkiewnej”.

Odnowione w warsztatach państwowych ikony — nie służą już celom kultu, ale magazynuje się je w muzeach moskiewskich i leningradzkich.



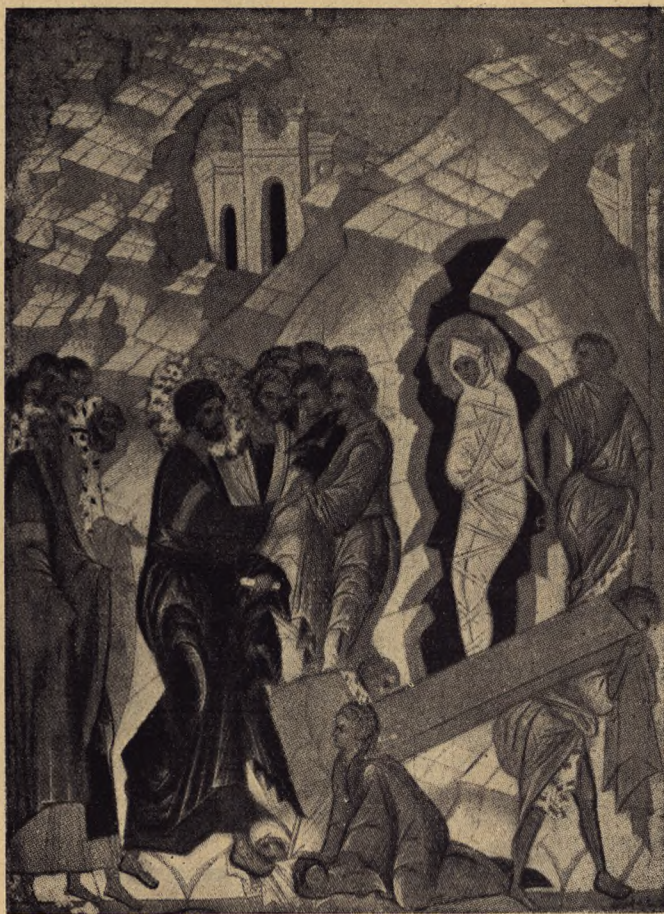
Archanioł Gabriel.
Początek XVI w. Szkoła jarosławska.

Utarło się błędne do gruntu przekonanie, jakoby sztuka rosyjska była jedynie prowincjonalnym odgałęzieniem sztuki bizantyńskiej.

Związki pomiędzy monumentalną sztuką cesarstwa wschodniego, a starorusyjskim malarstwem cerkiewnym posiadają charakter jedynie formalny.

Treść, wewnętrzny charakter ikon rosyjskich stanowią antytezę sztuki Bizancjum.

Twórczość artystów imperium wschodniego rozwijała się w ściśle określonych ramach, wytyczonych — przez Kościół i państwo, posiadała zdecydowaną konstrukcję



Wskrzeszenie Łazarza XV wiek.
Szkoła nowogrodzka.

wewnętrzną, niezmienną i nienaruszalną jak dogmaty wiary.

Była to sztuka wyzbyta wszelkich akcentów uczuciowych; głosiła ona jedynie chwałę nieskończonego majestatu Boga-Władcy.

W mozaikach bizantyńskich Zbawiciel jest tylko Pan-tokrator — a Matka Boża niedostępną Współwładczynią.

Była to świetna, ceremonjalna sztuka, operująca wielką monumentalną formą dekoracyjną.

Średniowieczna sztuka rosyjska wyrosła na podłożu uczucia.

Żywiołem jej była abstrakcja i wizyjność.

Surowa forma bizantyńska nie odpowiadała wewnętrznemu charakterowi sztuki rosyjskiej, to też już w wieku XI i XII, przyjęte z Bizancjum formy, poczęły ulegać gwałtownym modyfikacjom.

Oddalanie się od form bizantyńskich uzewnętrzniło się również w architekturze cerkiewnej, w jej symbolistyce.

Kopuła bizantyńska symbolizuje niebo rozpostarte nad ziemią.

Iglica gotycka rwie się w niepowstrzymanym pędzie w górę, podnosząc kamienne masy ku niebu.

Złożona kopuła rosyjska o kształtach płomienia świecy — symbolizuje żar modlitewny.

Abstrakcyjno-ascetyczne tendencje malarstwa rosyjskiego kapitalnie ujął ks. Eugenjusz Trubecki:

„Obrazy Rubensa to mięso, które musi zabijać, aby żyć! W ikonach odzwierciadliły się marzenia o życiu ponad-biologicznym, o końcu bytowania zwierzęcego“.

Forma malarstwa starorosyjskiego, wyzbyta wszelkich akcentów realistycznych, jest najściślej zespolona z istotną treścią ikon.

Abstrakcja góruje ponad wszystkim, decyduje o kształtach ludzi i zwierząt.

Lwy w jamie Daniela, koń św. Jerzego — to nie są stworzenia realne, z krwi i kości, ale zwierzęta żyjące poza kręgiem ziemi, na łąkach rajszych.

W ikonach obrazowali malarze starorosyjscy dwa światy: W wieczystym, niewzruszonym spokoju pogrążony świat transcendentálny i świat doczesny, szukający Boga, cierpiący, grzeszny, chaotyczny.

Wieczystemu spokojowi krain zaziemskich odpowiada zupełny bezruch postaci świętych: Jedynie płonące żarem ich oczy mówią o potędze wewnętrznego życia tych mieszkańców zaświatów.

Żywsze ruchy i gesty znamionują jedynie śmiertelników.

Ascetyzm stanowi zasadniczą nutę sztuki starorosyjskiej. Wysuszone postacie świętych wywierają wrażenie „żywych relikwii“.

Cierpienie, ból i walka wewnętrzna są to stany pośrednie, przygotowawcze.

Koronuje bowiem wszystko ekstatyczna radość z Odkupienia.

O radości tej mówi żywy, naiwny, gorejący koloryst ikon.

Idea hierarchji przenika konstrukcję ikon, warunkuje skalę barwną.

Barwy rozpłomieniają się, grają kolorami gdy malarz przechodzi w świat zaziemski, w sferę niebiańską.

Wszystko podporządkowane jest barwie słońca, owej światłości, której źródłem jest Bóg. Barwa ta nie jest to masywne, grubo kładzione złoto, ale delikatna, eteryczna przedza, utkana z promieni złocistych.

Barwa ta posiada własną nazwę: „assist“.

Assist mówi nie tylko o obecności Boga, ale słoneczną swą przedzę kładzie na wszystko, co żyje wokół tronu Przedwiecznego, co naznaczone jest znamieniem świętości.

Płynna, wyrazista linja konturów, oplatająca płonące żarem barw płaszczyzn, ściśle dekoracyjne charakter całości upodabniają ikony do zachodniego malarstwa witrażowego.

Najstarsze zabutki malarstwa rosyjskiego sięgają XI i XII wieku. Okres ten cechuje supremacja wpływów bizantyńskich.

Pochodząca z tych czasów „Matka Boża Włodzimierska“, dzieło o niezrównanej ekspresji uczucia, wskazuje już wyraźnie przyszłe tory sztuki cerkiewnej

Kijów na południe a Nowgoród na północy tworzyły główne ośrodki twórczości artystycznej.

W wieku XIII, XIV i XV potęguje się znaczenie szkół północnych. Psków, Wjatka, Susdal, Wołogda, Jarosław, a przede wszystkim Nowgoród skupiają w swych murach całe rzesze malarzy.

Za pośrednictwem republiki nowgorodzkiej, jedynej zakątka Rosji, gdzie nie sięgnęło jarzmo tatarskie — oraz poprzez ziemie Polski rozpoczęła się w XIV i XV penetracja wpływów sztuki zachodniej. Oddziaływania te równoważyły siłę nacisku tradycji bizantyńskich i wyzwalały uczuciowe nurty sztuki cerkiewnej.

Gwałtowny zwrot ku formom i wzorom dawnym nastąpił za panowania Iwana III pod wpływem carycy Zofji, księżniczki bizantyńskiej.

Na przełomie wieku XIV i XV pośród plejady bezimiennych twórców zajaśniał wielki talent malarzski — Andrzej Rublew (1370—1430).

Był to artysta posiadający fenomenalne wycucie stylu monumentalnego, kolorysta pierwszorzędny, który nieskoordynowanemu bogactwu barw malarzy dawniejszych przeciwstawił harmonję, dyscyplinę kolorytu.

W końcu wieku XV wydała sztuka rosyjska drugiego potężnego twórcę, Dionysiosa.

Miarą oddziaływania wpływów zachodnich i laicyzacji sztuki rosyjskiej XVII wieku było wystąpienie duchownego moskiewskiego Abbakuma.

W słowach tego znakomitego reformatora uewnętrzniły się wyraziście echa nakazów soboru trydenckiego i synodów polskich, wskazujących malarzom „obrazy starodawne“, jako wzór jedyny.

Abbakum, piętnując laicyzm malarzy moskiewskich, przemawiał stylem i językiem Savonaroli:

„Grzeszycie, malując świętych na podobieństwo własne“.

Idee Abbakuma zrealizowała szkoła Stragonowa.

Malarze tej szkoły sięgnęli do najistotniejszych tradycji sztuki rosyjskiej.

Malarstwo cerkiewne w swej ludowej odgałęzi przetrwało czasy „antychrysta“, Piotra Wielkiego. żyło aż do chwili wybuchu rewolucji bolszewickiej i powstania „nowej Rosji“ — Rosji walczącej z Bogiem, Rosji, która na ołtarze swoje wyniosła posąg Judasza-Iskarioty.

Dr. Mieczysław Skrudlik.

Na przełomie dziejów

(dokończenie ze strony 162)

mistrza duszą walki. Na jego czole składa pocałunek Nike zwycięska.

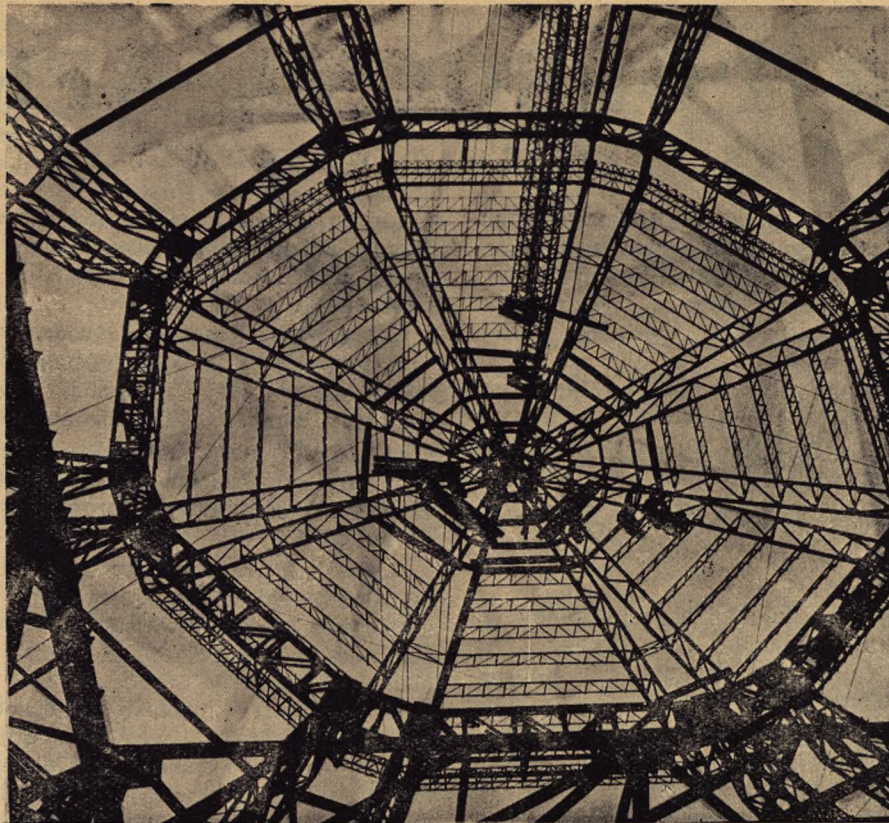
Nie będzie w tem przesady zbyt rażącej, jeśli powiem, że od nowej entente cordiale Polski z Litwą zależą w niemałym stopniu losy naszej walki z Niemcami. W chwili, gdy w Gdańsku sadowi się Hitler — warto się zastanowić nad zdobyciem sprzymierzenia w Litwie. Wchodzi tu także w grę interes Europy.

Niech nikt nam potem przed sądem historii nie zarzuci, że mieliśmy mniej zmysłu politycznego od naszych pradziadów z przed pięciu wieków.

Powrót do koncepcji Patrimonium Jagiellonum ma dla naszej dojrzącej polityki znaczenie orientacyjne pierwszorzędnej wagi.

W całości swej koncepcja bloku wschodniego, przy uwzględnieniu rachunku prawdopodobnych przeszkód, ma wiele realności, a rola jaką w niej odegrać chce Polska nie ściagnie na nas zarzutu megalomaństwa. Mamy dla tej koncepcji legitymację dziejową, sięgającą Grunwaldu i unji lubelskiej.

J. Czarnecki.



Konstrukcja żelazna pod strop wielkiej hali.

BUDOWNICTWO W AMERYCE

Klimat jest wtedy najlepszy, kiedy się go nie odczuwa. Przypominamy go sobie najczęściej dopiero wówczas, gdy jest nam zbyt zimno lub zbyt gorąco, zbyt sucho lub zbyt wilgotno.

Tak czy owak, trzeba się z naturą liczyć. To też w ostatnich czasach coraz bardziej myśli się o tem, aby wytworzyć w sztucznych jaskiniach — domach, w których człowiek współczesny przeważnie przebywa, taki klimat, aby go człowiek nie odczuwał. Prym wiodą oczywiście w tym kierunku Amerykanie. Jakżeby inaczej? Maszyny, które buduje się w celu fabrykacji sztucznego klimatu, ułatwiają istotnie pracę, stwarzając przyjemne stosunki.

Otóż w Ameryce buduje się już obecnie domy, które są wprawdzie ze szkła, ale zato pozbawione okien. Światło dochodzi do ich wnętrza częściowo przez przeświecające ściany, częściowo zaś dostarcza go elektryczność w postaci światła t. zw. „dziennego”, wytwarzanego przez specjalne lampy, znane obecnie także już i na rynku polskim.

Ale jakże z wentylacją? Otóż to właśnie: wentylację przeprowadza się sztucznie, przy pomocy odpowiednich pomp powietrznych, poruszanych elektrycznością i przepychających ustawicznie pewną ilość odświeżanego powietrza przez pokoje. Powietrze to ulega przytem stałemu filtrowaniu, co osiąga się przy przeprowadzaniu go przez filtry metaliczne, przepojone oliwą; w ten sposób powietrze, dostające się do pokoju, wolne już jest od kurzu i różnych mikroskopijnych zarazków, czyhających na przysmak, jakim są płuca ludzkie. Zarazem powietrze to ulega ogrzaniu lub ochłodzeniu (podczas upałów); jednocześnie wprowadza się doń odpowiednią ilość pary wodnej, tak, aby nie było zbyt suche ani zbyt wilgotne.

Operacje powyższe dokonywane są wszystkie w centrali domowej, gdzie zarazem umieszczona jest też centrala ogrzewania (o ile ten staroświecki system nie został wogóle zastąpiony przez ogrzewanie elektryczne); obmyślano przytem różne „termostaty”, „hydrostaty” i inne przyrzą-

dy, działające automatycznie pod wpływem zmian temperatury, stopnia wilgoci i t. d.

Oczywiście i ta regulacja odbywa się elektrycznie: termometr, w którym słupki rtęci spada zbyt nisko skutkiem niedozwolonego obniżenia się temperatury w danym pokoju, przepuszcza prąd elektryczny, który płynie do centrali i wprawia w ruch urządzenie, dostarczające więcej ciepła wspomnianemu pokojowi. To samo dotyczy wilgotności powietrza. Poza tem jednak każdy lokator — jeśli nie każdego pokoju, to przynajmniej każdego mieszkania — ma możliwość dodatkowego regulowania w pewnych granicach ilości potrzebnego mu powietrza oraz jego temperatury i wilgotności: osiąga zaś to przez nastawienie odpowiedniego regulatora wedle napisów na skali.

Dodajemy do tego możliwość perfumowania powietrza (np. zapachem lasu, łąki i t. d.), co również łatwo da się osiągnąć, a każdy może mieć w swym domu klimat „na obstatunek”, a raczej wedle własnego gustu — tropikalny, polarny i t. p.

PRZEZ PÓŁNOCNĄ AFRYKĘ

(WSPOMNIENIA Z WĘDRÓWKI).

(Ciąg dalszy).

Kabylija powstała jak jeden mąż. Pułkownik Fourchaut i generał Saussier poradzili sobie z nimi, ale Bordj Bou Arreridj było oblegane przez muzułmanów i przechodziło ciężkie chwile aż do odsieczy. Co roku 26 marca jego ludność europejska obchodzi święto swojego uwolnienia.

Setif, dawny rzymski Sitifis, stolica Maurytanii, jest to już duże miasto. Nie przedstawia ono zresztą dzisiaj nic ciekawego i kto chce zobaczyć porządne ruiny archaiczne, niech jedzie do odległej 50 kilometrów Djemili.

Setif leży dosyć wysoko w okolicy górskiej i klimat ma ostry. Winogrona tutaj słabo się udają, zato zboża naszej strefy bujnie rosną.

W 1853 r. Szwajcarzy założyli w tej okolicy olbrzymią kolonję, obejmującą cztery tysiące ludzi. Niestety w roku następnym zdziesiątkowała ich cholera. Żywi ze strachu puciekali, tak, że dziś została tylko administracja szwajcarska, a element roboczy rekrutuje się z ludności miejscowej.

Z okien wagonu widać było uprawne pola, ale z obudwu stron ciągle, bliżej lub dalej rysowały się na horyzoncie góry. Pod El Guerra podeszły nawet do samego plantu kolejowego.

Wagon drugiej klasy w pociągu idącym z Konstantyny do Biskry, którym mi wypadło jechać, tak był stary i zniszczony, że musiał pamiętać czasy Abd-el-Kadera.

Ciągle się chmurzyło i wiał chłodny wietrzyk. Po deszczu zapachniały pola, w powietrzu słychać było śpiew ptaków i cykały w trawach koniki polne, czy też zabląkane szarańcze, które tego roku stanowiły klęskę północnej Afryki.

Za Ain Mlila wjechaliśmy pomiędzy dwa słone jeziora Mzouri i Tinzilt, od nich nawet następna stacja nazywa się Les Lacs.

Czytałem, że Afryka południowa robi teraz zakupy soli warzonej i kamiennej w Polsce, mając jej przecież tyle u siebie na północy. Widocznie nasza sól uchodzi za daleko lepszą, jeżeli się nawet jej przewóz opłaca. W bok od Ain Iagout jest Medracen z grobami królów, którzy tutaj panowali jeszcze przed zniszczeniem Kartaginy.

Ale gór coraz więcej, niektóre ładnie poszarpane, co im dodaje malowniczości. Zato roślinność przedstawia się uboga, liche pastwiska i krzaczki. Tylko przy osiedlach ludzkich widać było drzewa, pokryte amarantowem kwieciem.

Na nędznej trawie pasły się krowy i wielbłądy. Jakże bez wielbłąda można sobie wyobrazić Afrykę. Ale popatrzmy na niego z punktu historycznego.

Paleontologja zna w tych stronach wielbłąda kopalnego, który żył tutaj niegdyś w stanie dzikim. Herodot jednak dokładnie opisując faunę Libji, w swoich czasach, o tem garbatem stworzeniu nic nie mówi. Liwjust i Polibjust w dziejach wojen punickich tak samo. Salustjusz pod tym względem nie różni się od nich.

Nie znała wielbłądów Kartagina, i jeszcze pod koniec republiki rzymskiej w Afryce były one osobliwo-

ścią. Potem jest ich już coraz więcej, ale to, na co patrzymy dzisiaj, zaczyna się dopiero od inwazji Arabów azjatyckich i Berberowie tutejsi dla wielbłąda mają nawzę arabską.

Z jakiegoś powodu to zwierzę wyginęło w Afryce, czy tylko w jej części północnej, i zostało później importowane z Azji. Przyrodnik rzymski powiada, że wielbłądy jedno i dwugarbne pochodzą stamtąd.

Zato w starożytności Tell algerski miał dużo dzikich słoni, wytrzebionych dopiero w wiekach średnich, a struś zaginął tutaj dopiero za rządów francuskich w Afryce.

Wjechaliśmy pomiędzy niewielkie góry, pokryte zaroślami. Krajobraz zresztą nie był piękny, więc z przyjemnością powitałem na stacji napis „Batna”, obiecując sobie dalej delacje, jeżeli nie estetyczne, to naukowe.

Batna jest kilkunastotysięcznym miastem, które powstało dopiero w 1844 r. i pierwotnie było tylko francuskim obozem wojskowym. Ma szerokie ulice, przecinające się pod kątem prostym, obramowane drzewami. W środku stoi kościół z wieżą, a na niej widać było bocianie gniazda.

Umówiłem się z trzema przygodnymi Francuzami, którzy również chcieli zwiedzić Timgad, że pojedziemy razem do ruin. Szofer, człowiek zabobonny, bo w samochodzie zawiesił maskotę, nie żałował gazu, więc ledwieśmy usiedli, już był we wsi Lambezii.

Tu się zaczynają ruiny starożytne rzymskiej Lambaesis, gdzie Numidia Milicianiana miała swoją centralę. W niej prawie dwa wieki stacjonowała sławna trzecia Legio Augusta i ruiny jej obozu przechowały się do dnia dzisiejszego. W środku znajduje się Praetorium z kolumnadą, gdzie występował oficjalnie wódz naczelny.

Trzeba pamiętać, że taki legion, to nie był pułk dzisiejszy, ale raczej cały korpus armji. Miał piechotę pancerną, łuczników kreteńskich, procarzy balearskich, ciężką kawalerję italską i lekką numidyjską, oraz kaptuły, balisty, onagry i skorpiony, zastępujące wówczas artylerję.

Jeszcze w XVIII w. stało w Lambezii czterdzieści rzymskich łuków triumfalnych. Dziś mamy z nich ledwie cztery. Najciekawszy znajduje się już za wsią. Pochodzi on, jak się zdaje, z czasów Septimiusza Sewera, który dawne tutejsze miasto przyozdabiał pomnikami.

Ten cesarz pochodził wprawdzie z Leptis Magna, czyli z Trypolisu, ale całą prowincję afrykańską kochał bardzo i więcej się nią zajmował od innych władców Rzymu. Spartjan pisze o nim: „leguminis patriavidus“. Lubił widocznie daktyle i inne płody ziemi ojczyściej. Do starości, mówiąc po łacinie, miał akcent tutejszy (Afrum quiddam sonans).

Kiedy jego siostra przyjechała z Leptis na dwór cesarski, to w Rzymie ledwie się mogła porozumieć po łacinie. Zażenowany Sewer obsypał ją prezentami, syna jej zrobił senatorem, ale oboje wyprawił z powrotem do Afryki.

A pochodzili oni z Ekwitów, ze starej rodziny arystokratycznej! Dowodziłoby to, że w III w. po Chr. w Leptis Magna kobiety z najwyższego towarzystwa mówiły ze sobą po punicku, a mężczyźni nie mogli się pozbyć egzotycznego akcentu.

Libijczycy i Numidowie kochali wzajemnie swego cesarza. „Ab Afris ut deus habetur”, pisał o nim Spartjan. Przywiązanie do Wschodu pozostało i w jego potomku. Wiadomo, że Sewer ożenił się, z mówiącą po aramejsku, Syryjka, skandalicznego prowadzenia Julja. Miał on z nią syna, potwornej pamięci Karakallę, który jako cesarz, kazał w swoim państwie wzniesić wiele posągów Hannibalowi, wrogowi Rzymu!

W dzisiejszej Lambezii znajduje się centralny zarząd prowincji Aurès i wielkie więzienie na 1500 osób.

Jadąc dalej do Timgad, mineliśmy folwark marabuta arabskiego, a potem ogarnęły nas nędzne pola i pastwiska, jeżeli tak można nazwać kolące krzaki, pokrywające ziemię. Ale spotkane po drodze krowy umiały sobie widocznie coś z gruntu wyskubać.

Smutny krajobraz urozmaicał niekiedy jęczmień z czerwonymi makami. Mineliśmy obozowisko Beduinów. Raz nawet zaśpiewał skowronek. Zdaleka zato widać było ładne góry, z prawej strony na łańcuchu Beni-Oudjana leżały nawet śniegi.

Zajechaliliśmy przed hotel tak wspaniały, że mógłby stać w Paryżu. Po świeżo przebytej pustyni, robił on wprost onieśmielające wrażenie. To był już Timgad. Podczas obiadu elegancki kelner z wdziękiem podawał nam dystygowane potrawy, których cena odpowiadała ich smakowitości. Ale nie obiad zaprowadził nas przeciw w te zapadłe strony, więc śpieszymy do ruin.

Timgad, który za Rzymian nazywał się Thamugadi, został założony przez legata Lucjusza Munatjusza Galla w 100 r. po Chr. Pomimo trzęsienia ziemi i dewastacji ludzkiej, bardzo dużo jeszcze z niego zostało. Ruiny tutejsze można porównywać z Pompei i Ostia Scavi, a Forum Romanum nie lepiej się przedstawia. Łuk triumfalny Trajana z błękitnego wapienia, którego dostarczyły sąsiednie góry, teatr, świątynie Jowisza Kapitolńskiego i Zwycięstwa, rynek, łaźnie i kapitol — oto, co można zobaczyć w Timgad.

Łaźnie są aż poczwórne. Można sobie wyobrazić, jak chętnie w tym klimacie, przy obfитоści kurzu, lubił się pluskać w wodzie i odświeżać w parze, Rzymianin, który i u siebie w stolicy nie mógł sobie wyobrazić życia bez kąpieli.

Znalazłem na kamieniu ulicznym wydłubany charakterystyczny napis, mówiący o tem, co obywatel rzymski robił w tych stronach, przynajmniej w czasie pokoju: „venari, lavari, ludere, ricere hoc est vivere (polować, kąpać się, grać, śmiać się — to jest żyć).

Musiano jednak w Thamugadi i czytywać książki, bo spotkałem również ruiny biblioteki.

Ciekawy jest rynek z miejscami dla kupców. Odrazu widać czem każdy handlował. Wyrzeźbione są ubrania, karczoch, chleb, Bachus, stół rzeźnicki...

Przy forum jest teatr na 3.500 osób, mała świątyni-

ka i bazylika pogańska, gdzie wymierzano sprawiedliwość sądową oraz załatwiano operacje pieniężne.

Z pomieszczeń prywatnych zwraca na siebie uwagę dom, który posiadał Sertius Faustus i jego żona Valentina. Byli to ludzie zamożni, sądząc z zajmowanych przez nich apartamentów. Znaleziono tam mozaiki świadczą o rozwiniętym zmyśle estetycznym gospodarzy, a vivarium do ryb dowodzi, że Valentina w tej pustyni dawała świeże ryby mężowi na obiad.

Za kapitołem znajdują się ruiny wielkiego kościoła i klasztoru chrześcijańskiego. W baptisterium można podziwiać doskonale przechowane mozaiki. Bliżej pogańskiego miasta są resztki jeszcze dwóch kościołów i kaplicy. Ten chrześcijański Timgad przedstawia się skromniej, bo do budowy jego gmachów nie było niewolników, ani tych środków technicznych, jakimi rozporządzają architekci współcześni.

Islam do tego wszystkiego nic nie dorzucił. Arabowie tylko zburzyli to, co wzniosły tutaj dwie poprzednie cywilizacje.

Podobało mi się w Timgad. Tego rodzaju ruiny mają zawsze w sobie coś z cmentarza. Zwiedzając Paryż, Genuę, Medjolan, czy nawet Damaszek, szukałem ich campi santi. To jest kwestja moich upodobań osobistych.

Błądziłem po długich ulicach pomiędzy rzędami, kolumn o kapitelach naśladowujących afrykańskie akanty. Stuk moich kroków rozlegał się głucho po kamieniach. Czasami przemknęła jaszczurka, a polne koniki w trawach grały swoją syczącą piosenkę.

Spojrzałem uważniej na drogę. Zaroiła się od cieni. Jedne były wysokie, proste, z wieńcami na głowach, inne małe, skurczone, pokorne. Patrycjusze i niewolnicy rzymscy wrócili do swego Thamugadi! To całe, lub poutraćane, z kapitelami, lub bez nich, kolumny rzucają w słońcu ciemne plamy na Decumanus Maximus i ludzą rozmarzoną wyobraźnię.

Zaczęliśmy się sadowić w samochodzie, chcąc jechać z powrotem do Lambezii i Batny. Zeszli się chłopcy ze wsi popatrzeć na rzadkich w tej porze gości. Jeden stary zbliżył się do nas i usiłował powiedzieć coś po francusku. O ile go można było zrozumieć, to syn jego zginął jako żołnierz podczas wielkiej wojny, czyli oddał życie za Francję. Mówił to głosem żalnym, tak, że z serdecznym współczuciem słuchaliśmy jego wyznania.

Uderzyło mnie tylko, iż zwracając się do najmłodszego z nas, może dwudziestoletniego chłopca, nazywał go „grand père”. Improwizowany „dziadek” był nieco zażenowany. Przypomniało mi się dopiero, że Arabowie algerscy kardynała Lavigerie nazywali „wielkim ojcem”, w czem widziano dowód przywiązania i szacunku mahometan dla niego. W Batnie się przekonałem, że o ten tytuł w Afryce nie trudno. Jest to dosłowne tłumaczenie arabskiego „abu kebir” i dziadka wcale nie oznacza.

(D. c. n.)

Ks. T. R.





Baszta rybaków w Budapeszcie.

WSPANIAŁA BUDA

Powietrzny pterodaktyl. — Typy... typy. — Stolica mężnych Arpadów. — Archaiczna Buda i nowoczesny Peszt. — Pełen rezygnacji zabieram się do dyni. — Niedola węgierska. — Irredenta. — Co dali Węgrzy cywilizacji. — O piśmiennictwie słów kilkoro. — I znowu ta papryka! — Pocziwy, niezapomniany Tomcsanyi. — Kropka.

Cicho, wytornie, bezszelestnie stanął na lotnisku w Aspern autocar, z którego wysypaliśmy się powoli, z godnością, z flegmą. Służba w libejri porywa nasze walizy i nakleja na nich nalepki austriackiej żeglugi powietrznej. Grono osób podąża w stronę wspaniałego, trzymotorowego olbrzyma. Zdaleka taki Junkers wygląda jak jakiś potworny Pterodaktyl z powieści Conan Doyle. Osiemnaście miejsc pasażerskich!... Komfort oszalamiający.

Pasażerowie stanowią towarzystwo wybitnie międzynarodowe. Jakaś rodzina angielska. Papa w rogowych okularach, z pledem szkockim na kolanach. Mama w rogowych okularach i także z pledem szkockim. Syn i córka — ditto. Każde celebrytuje nabożne skupienie, dzierży w dłoniach przed nosem Baedeckera albo Tauba albo może Griebena i flegmatycznie dzieli się z resztą wrażeniami:

— Wery interesting... Beautiful country... Yes... No-o-o...

Kilku kędzierzawych Węgrów. Zdaje się przemysłowcy. Ci w przeciwieństwie do Anglików rozmawiają żywo, gestykują, kłócą się. Temperamentowi ci Węgrzy... Amerykanin, młody człowiek, świeżo pewnie wypuszczony z jakiegoś college, wysłany przez rodzinę dla otarcia się w szerokim świecie — w krótkich spodniach do golfa, kręci się niespokojnie i po kolei usiłuje nawiązać z towarzyszami rozmowę. Trzepie jednak takim akcentem, że literalnie nikt go nie może zrozumieć. Anglicy może go i rozumieją, ale wielkie Brytany nie chcą najwidoczniej wdawać się w pogawędkę z Yankeeem i ściśle przestrzegają cant'u.

Po dobrej godzinie lotu nasz Junkers gwałtownie się przechyła. Raptem widzimy ziemię, gdzieś jak pod sufitem. Domy pokracznie pokrzywione, jak na obrazach jakiegoś Larousse Lautrec'a, czy któregoś z wczesnych francuskich impresjonistów. Zatacza koło i nagle, jak jastrząb, który wypatrzył ofiarę, spada

gwałtownie na dół. Wpatrujemy się teraz ze ściśniętymi sercami w krąg lotniska, na którym, jak kredą na tablicy, widnieją olbrzymie litery:

B U D A P E S T.

A ściślej: Buda i Pest.

Buda, to jedna z najwspanialszych i najstarszych europejskich stolic. Liczy sobie coś zgorą 1000 lat. Tyć już lat minęło od czasu, kiedy ją ufundowali konkwistadorowie mężnych Arpadów. Na prawym brzegu Dunaju, na wyniosłej skale, niczem niedosiężne orle gniazdo, przysiadł królewski zamek, dawniej rezydencja królewsko-apostolskiego Franciszka Józefa, dziś — siedziba regenta Horthy'ego. Trzy dni w tygodniu zamek ten płonie światłem reflektorów i wygląda wówczas, jak zaklęte zamczysko bajkowych królów, księżniczek, karłów. Nieporównanie w tej poświacie wyglądają strzeliste wieżyczki, baszty obronne, staroświeckie krużganki, attyki, glorjetty, kolumny, pomniki... Most Elżbiety jednym wspaniałym łukiem,

niby misterną kłamrą jakiegoś Cellini'ego, spina starą Budę z nowoczesnym Pesztem. Archaiczna, dostojna Buda w swych wąskich ulicach, w domach o antycznej architekturze, mieści większość państwowych urzędów, ministerstw i zagranicznych legacji. Tutaj, przy Orszaghazutca znajduje się poselstwo polskie. Wokoło piętrzą się kopulaste wieżycy kościołów, pomniki świętych Pańskich, królów, bohaterów narodowych. Sklepy ubogie, raczej kramy, w których za jedno, dwa pengö dostaniesz flaszkę taniego Riesliengu, parę sznurowadeł lub torebkę karmelków...

Taka jest Buda.

Co innego zupełnie — Peszt!

To już jest miasto doskonale nowoczesne, postępowe, wyasfaltowane. Szyldy marmurowe zdobią witryny bogatych magazynów. Co krok drgają nad głową przechodnia różnokolorowe neonowe reklamy. „Radion egy magamos”!.. No, to przynajmniej rozumiem. Okazuje się, że i tutaj ten Radjon sam pierze...

W Café Ostenda najwytworniejsza publika słucha muzyki węgiersko-cygańskiej kapeli. Na Vörösmarty-utca, jak na paryskich bulwarach tętni i pulsuje gorączkowe życie... Węgrzy nie chodzą spać z kurami!..

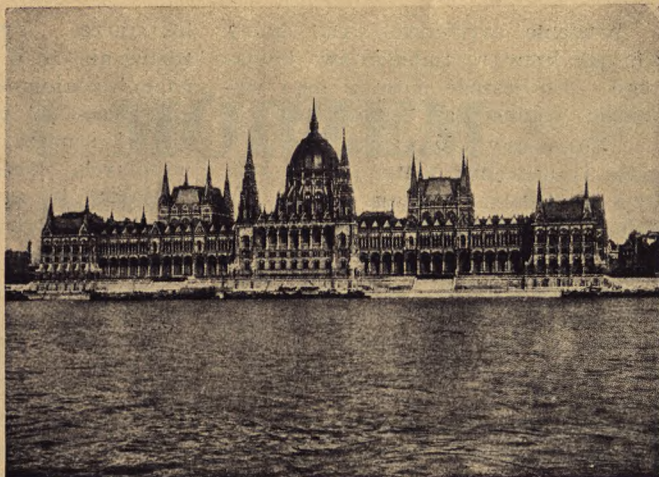
Dzięki uprzejmości naszego radcy poselstwa wprost z lotniska udaję się do gmachu poselstwa, gdzie otrzymuję pokój w apartamentach gościnnych. Nazajutrz podejmuję spacer. Łamię sobie język, żeby móc zapytać o kierunek na ulicę Erzebetkërut, a potem ustawicznie myślę nad tem, aby nie popłatać dwóch słów podobnych (dla mnie) i równie potrzebnych. „K ö s z ö n e m” — znaczy dziękuję a „k ö r e m” — znaczy proszę. Dwa razy dziękowałem, kiedy należało prosić... Prosiłem, kiedym powinien dziękować!

W restauracji naturalnie mam

przeprawę z kelnerem. Jak trudno zdobyć się na decyzję, kiedy ma się przed sobą kartę z takimi napisami: T o j a s l e p e n y s o n k a v a l, albo: V e l o t o j a s s a l, albo: T a l o n s u l t t o j a s o p e r a.. Opera? Bądź tu mądry i domyśl się, jaka też potrawa ma co wspólnego z operą!

W rezultacie — djabelnie zniechęcony paplaniną kelnera, na chybił trafił pokazuję palcem na nazwę T ö k. Słowo krótkie, nieskomplikowane, może więc i potrawa okaże się taką. Kelner patrzy na mnie przez chwilę z niepokojem, wreszcie przynosi mi najzwyklejszą gotowaną.. dynię. Pełen rezygnacji i cichego smutku zabieram się do tej dyni..

Elegancki Buick naszego poselstwa, oddany mi łaskawie do dyspozycji, wiezie mnie prosto do Magyar



Parlament.

Nemreti Szöretseg przy Geza-utca Nr. 4. Towarzystwo Kultury i Sztuki Węgierskiej. Odrazu wpadam w ramiona starego przyjaciela i entuzjasty Polski, prof. Janos Tomcsanyi. Ten człowiek, jak wiadomo, w pięć lat z furją uczył się polskiego języka, żeby nas przekładać na węgierski. Ostatnio wyszedł jego świetny przekład reymontowskich „Chłopów”, który krytyka i społeczeństwo węgierskie przyjęły z zachwytem. Tomcsanyi żywo propaguje kulturalno-artystyczne zbliżenie Węgier i Polski. Mówi o nas przez radio, miewa odczyty o naszej literaturze, pisze.

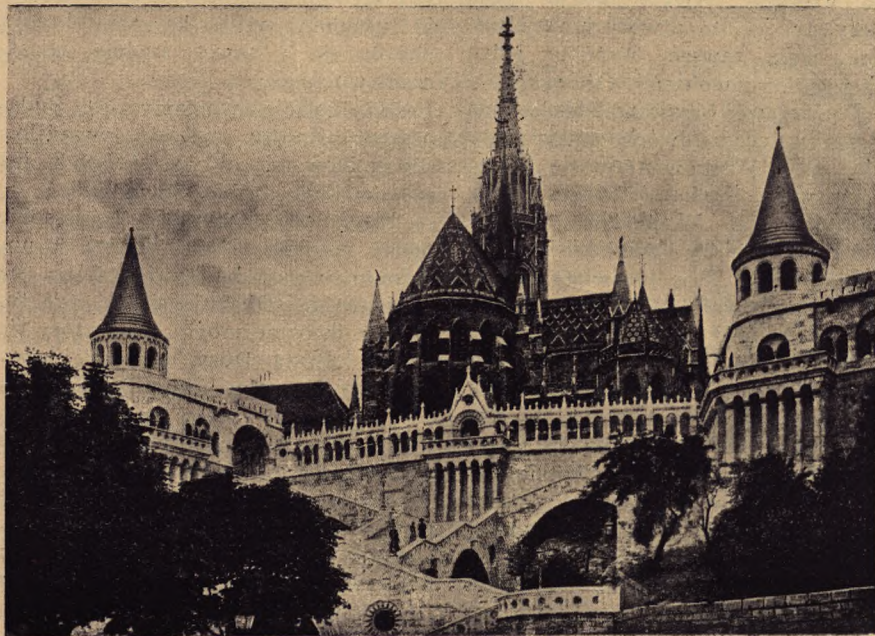
We dwóch objeżdżamy miasto wszerz i wzdłuż..

Tomcsanyi mówi mi wiele o piśmiennictwie nowych Węgier, o teatrze, o niedoli politycznej.

Myślę sobie, że jednak dużo jest słuszności w tem, że Węgry są narodem najbardziej przez wojnę pokrzywdzonym

Traktat w Trianon był w zasadzie rozbiorem Węgier. Odebrano im dwie trzecie terytorjum... Nie ustają też na chwilę z głośnym protestem przeciwko jawnej krzywdzie. Przecież do wojny nie parli. Premier węgierskiego gabinetu, hr. Tisza, do ostatka odradzał staremu panu z Schönbrunnu, aby nie angażował się w hazardowe intrygi cesarskiego kuzyna z Berlina. Jak mógł, niweczył plany ambitnego hr. Berchtolda..

Tymczasem nie ustają Węgrzy w akcji rewizjonistycznej. Stary hr. Apponyi, jeden z najświetniejszych mówców Europy, przed każdym prawie Zgromadzeniem Ligi Narodów otwiera węgierskie rany. Regent Horthy ze swej strony kokietuje lorda Rothermer, apologetę i obrońcę Węgier na terenie angielskim.



Kościół koronacyjny św. Stefana.

Irredenta węgierska wciąż burzy się, jak krew w ampułce św. Januarego. Co jeszcze może z tego wynikać, trudno dziś przewidzieć.

„Narzucony Węgrom pokój — pisze Transilvanus Viator — pod każdym względem wywołuje krytykę W imieniu wiedzy geograficznej protestowałby przeciwko niemu Reclus, który swego czasu jednolitość geograficzną Węgier nazwał idealną. W imieniu geologii protestowałby Löczy, który w rozbiciu jednolitego systemu rzeczno Węgier widział rozszerzenie się i tak już grożącego południowej Europie niebezpieczeństwa dessikacji. Protestuje ekonomja, której podstawą jest zasada, że tylko państwo przemysłowo i rolniczo silne zdolne jest do życia. Węgry огоłocone ze swych lasów, z kopalni i z sianokosów, — nigdy nie będą mogły być przemysłowo silne. Protestują również zasady Wilsona, które zrodziły się przy amerykańskim biurku i po kilkutygodniowej wegetacji umarły w sali obrad konferencji pokojowej. Daliśmy Europie — powiada dalej ten sam autor — męznego św. Władysława, Jana Hunyadego wielkiego rycerza chrześcijaństwa, Mikolaja Kiss z Misztofalu — świetnego amsterdamskiego rytownika. Anjosza Jedlika — mistrza elektrotechniki, dwóch braci Boyai, wiecznie młoda lirykę Petöfi'ego.. Ziarno naszego zboża, smak naszych owoców i świetność naszych stadnin mają światową sławę. Nie jest to manna, spadająca z nieba... Za nami jest praca naszych przodków. Motory nasze warczą w Tivoli, w Londynie i w Yokohamie, nasze transformatory prądów elektrycznych pracują w szerokim świecie..

Więc naturalnie marzą o jakimś wyjściu z tej żalosnej sytuacji.. Dwie są zasadnicze koncepcje: Węgry z Austrją lub z Niemcami. Ansch'uss wywołał poważne zastrzeżenia w Europie. Wewnątrz kraju nie ustają tarcia pomiędzy trzema kierunkami politycznymi: i legitymiści i demokraci i elekcjoniści poszukują mozolnie nowej, pomyślniej formy rządów. Ostatnio hr. Andrassy przywódca legitymistów, swoją wymową i argumentacją, zdołał osłabić wpływ partji elekcjonistycznej. Tymczasem arcyksiążę Otto pilnie uczy się po węgiersku, a przy jego egzaminie co rok uczestniczy delegat rządu budapeszteńskiego i składa relacje o postępach domniemanego króla.

Któż może wiedzieć, jakie rozwiązanie przyjmie węgierska sprawa? Któregoś dnia podjęliśmy z prof. Tomcsanyim rozmowę o węgierskiej

literaturze. Wyraziłem mu swoje zdziwienie, że w Polsce tak mała jest naogół znajomość piśmiennictwa węgierskiego... A przecież literatura węgierska i nasza mają tak wiele cech wspólnych, uderzająco analogicznych.

Jakież to są dzieła pisarzy węgierskich, które weszły do literatury światowej?

Jakie utwory węgierskie znane są zagranicą?

Przedewszystkiem więc — Petöfi! Następnie — „Tragedja Człowieka” Emeryka Madacha. Dalej — światową sławę mają powieści Jókai'a i Mikszátha. A wreszcie — nieskończoną popularność zyskały sztuki Franciszka Molnara.

To niewiele. Zapewne. Należy jednak zważyć, że całe węgierskie piśmiennictwo najmniej może zawiera pierwiastków, że się tak wyrażę, kosmopolitycznych, t. j. takich, któreby ogarniały zagadnienia, interesujące wszystkie kraje. Fatalnie układające się dzieje tego narodu przez długie lata paraliżowały intelektualne wysiłki ich pisarzy.

W ciągu szeregu dziesiątków lat piśmiennictwo węgierskie wypełniały całkowicie prawie pieśni wojenne i poematy miłosne o podłożu narodowym (Ballint-Balassi), pieśni patryjotyczne i cała ta majestatyczna, ojczyźniana liryka poety-bohatera, Vörösmarty'ego, który był jednocześnie prekursorem węgierskiego romantyzmu. Narodowa epopeja hr. Miklós Zrinyi (1651), epopeja komiczna, pełna życia Csokonyi'ego (1802), narodowy dramat Bánk Bán świetnego dramaturga. Katona'ego (1882), cała wreszcie poezja epicka Jana Arany'ego — oto utwory i nazwiska które miały zawsze wspólny jeden cel, wspólną ideologję: Ojczyznę

Po krwawej bitwie pod Mohaczem (1525), w ciągu dwóch stuleci bezmała, życie Węgrów staje się jedną nieprzerwaną walką z dwoma naraz wrogami. Na Wschodzie groźnie chwiał się ruchliwy i niespokojny półksiężyc, który swą poświęcę roztoczyć chciał również na Węgry, z Zachodu zaś, niby macki polipa, wyciągały się drapieżne łapy Habsburgów. Pod tym literalnie obosiecznym mieczem Damoklesa nie była w stanie rozwijać się swobodnie ani sztuka ani kultura Węgier. Poezję zawsze pochłaniały problemy patryjotyczne, narodowe, ojczyście. Symbolem tej narodowej poezji Węgier jest Petöfi. Jego poezja we wszystkich wibracjach i motywach jest nawskroś węgierska. Jeśli porównać go z Goethem — a zestawienie takie śmia-

ło wytrzyma krytykę — widzimy, że Goethe, który pół życia strawił na zagranicznych podróżach, mógł łatwo zdobyć się na szerszą niejako perspektywę twórczą, czego brakło Petöfi'emu, który nigdy w życiu nie wydał się poza granice Węgier. Dlatego może brak mu tych globalnych elementów, które tak rozstawiły imię autora „Hermana i Doroty. Podobnie da się powiedzieć i o węgierskiej prozie.

Słusznie pisze Elemer Csaszar, że, o ile utwory wielkich powieściopisarzy angielskich, francuskich czy rosyjskich są to utwory socjalne lub psychologiczne, — o tyle dzieła największych prozatorów Węgier, to przeważnie powieści historyczne. I nietylko dotyczy to starych pisarzy, jak Jósika czy Kemény, ale nawet współczesnych, jak np Franciszek Herczeg.

Złoty wiek piśmiennictwa węgierskiego przypada na drugą połowę 19-go stulecia. W tym okresie bowiem pojawiają się największe talenty z zakresu wszystkich rodzajów literackich. W poezji — Vörösmarty, Petöfi i Arany, w powieści — Zygmunt Kemény, Maurycy Jókai i Józef Eötvös, zwany węgierskim Wiktorem Hugo, w dramacie wreszcie — Józef Katona, Emeryk Madach, Franciszek Herczeg i Franciszek Molnar.

Wyjeżdżamy z Tomcsanyim za miasto. Mijamy „termy” budapeszteńskie, sławne kąpieliska, które mają rozgłos. Wpadamy w okolicę najpyszniejszych will. Samochód bierze gracko wiraże, serpentyna zatacza kręgi dokoła wysokości gór. Tu, w tem wybornym ustroniu, mają swoje tusculum węgierska arystokracja, plutokracja a nawet średnie mieszczaństwo.

Na kolację wracamy do Budapesztu. Znowu jakieś wymyślne, skomplikowane nazwy, których już nie umiałbym sobie przypomnieć

Po kolacji Tomcsanyi każe sobie podać paprykę i ser. Patrząc z podziwem jak on łapczywie zabiera się do papryki. Okazuje się, że żyć tutaj bez tego nie mogą. Ser, który się nazywa Pusta Döry ogromnie przypomina w smaku francuski Camembert. Obie te rzeczy, papryka i ser, uważane są za smakołyki i je się to po obiedzie lub kolacji.

Przyszedł czas, abym opuścił tę uroczą perłę Dunaju. Z jakim smutkiem się z Budapesztu wyjeżdża ten tylko wie, kto raz go oglądał nie z „widokówek”, a zbliska.

Piękne, wspaniałe miasto!

Eugenjusz M. Schummer.

DON JOSE ST. NOARRO.

NAD ŁĄDEM I MORZEM

Z CYKLU „GOŁĘBICA I JASTRZĘBIE“.

Lecz Dżems nie dał za wygraną. Przygotował nową linę i jeszcze raz powtórzył eksperyment.

Tym razem kadłub sunący po wodzie mocą poprzedniego rozpędu nie stawiał już takiego oporu. To też lina wytrzymała.

Tak zaczęło się osobliwe holowanie. Do brzegu było jakieś pięć kilometrów, które też szybko przebyto. Zamajaczyła niewielka plaża, poza którą wznosił się jednak skalisty zwał, wysoki na jakieś sto metrów.

Dżems zaczął dawać Zawuckiemu rozpaczliwe znaki. Cała ta historia mogła się skończyć fatalnie — rozbiciem o skały.

Zawucki jednak szybko się zorientował. Miał przecież nóż, który już przedtem oddał mu tak ważną przysługę.

Kiedy kadłub zaczął się wlec po piaszczystej mierzwi, ciało z całej siły, uwalniając swych przyjaciół z uwięzi.

Kilka poruszeń sterem i aeroplan przepłynął zrezygnowanie nad groźnym cyplem skalnym.

— Ziemia, ziemia! — Och co za ulga!

Zawucki miał teraz czas spojrzeć na bohaterkę tej romantycznej odsieczy. Wydało mu się, że dawała jakieś znaki życia.

Wziął ją na ręce i przeniósł delikatnie na ląd, gdzie złożył na piasku.

Nachylił się nad Anną. Była wciąż jeszcze w omłotieniu. Zastanowił się nad sposobem przywrócenia jej przytomności.

— Trzeba wody! zdecydował i skierował się w stronę morza.

Tymczasem Anna, na skutek wstrząsów ostatniej eskapady, powoli przychodziła do siebie. Gdy hrabia wracał, Anna otwierała oczy ze zdumieniem i przerażeniem budzącej się świadomości, obserwując swe nowe otoczenie.

Zarys ciemnej, wyniosłej masy skalnego nadbrzeża wydawał się krawędzią kosmicznej nieskończoności, w której wyczulone oko mogłoby dostrzec mgławicę dalekich światów. Leżąc w sypkim, niemal płynnym, piasku, nie dość jeszcze odzyskawszy czucie i władzę wszystkich członków ciała, czuła się Anna niezupełnie realnie, jakby zawieszona na granicy bytu i niebytu. Nieprzezwykła jeszcze senność nie pozwalała na jasne ujęcie rzeczywistości, choć umysł logicznie już pracował.

A więc to tak jest tam! Przyznać musiała, że świadomość owego „tam“ napelniła ją pewną błogoccią. To tam, oznaczało dla niej kres udreczeń, które wypełniły po brzegi czarę ostatnich dziesięciu lat jej życia. Nie miała odwagi moralnej zerwać z tem życiem, trzymała ją jeszcze mus niewypełnionego zadania życia, lecz była już po samą krtanią syta dobrego i złego. Chciała już kresu, pragnęła wytchnienia, osiągnięcia tej nieprzymuszonej łatwości istnienia, którego pełnia jest tam.

Zdawało jej się, że właśnie już się dokonało...

Każdy ruch, przychodzący z pewną trudnością i nieskoordynowanie w tej puchowej pościeli sypkiego, plastycznego jak mąka piasku, nasuwał przypuszczenie, że jest zawieszona w bezkresnym eterze, daleka od wszystkiego co ludzkie i ziemskie, przynajmniej na tyle, by nie cierpieć..

Lecz powracająca świadomość do bardziej realnych granic sprowadzała jej uczucia i myśli. Pamięć zaczęła nasuwać obrazy niedawnych przeżyć, które kojarzyły się logicznie w pewną całość mniej już feeryczną i pocieszającą.

Jednak, niestety, rzeczywistość znów natrętnie sterczała tym nagim, zimnym, skalistym złodem. Zamiast nieskończoności, falowała płaszczyzna słonego morza, którego wodą nie sposób ugasić pragnienia, zamiast łoża z eteru i westchnień, zwykła lawica piasku, zapewne zdeptanego tysiącem nóg, zamiast anioła, majaczyła jakaś sylwetka ludzka.

— Kto to? Gdzie jestem? — przemknęły pytania jak błyskawice.

Uniosła się nieco na rękę, patrząc rozszerzoną źrenicą w zbliżającą się ku niej postać.

— Dzięki Bogu, że pani żyje! — odezwał się hrabia.

— Cóż pan dziękuje za to, co ja chciałabym przeklinać! — odpowiedziała Anna, w pierwszej chwili nie spostrzegając, że pytanie jego i jej odpowiedź padły w ruskim języku, tak dawno już przez nią nie słyszany.

— Kto pan jest? — zdumiała się hrabina. Mówi pan po rusku!

— Przyjaciel — odparł Zawucki, — życzliwie usposobiony, gotów jej służyć pomocą.

— Och, tak wielu mam przyjaciół, że żadnemu nie mogę ufać — ironizowała Anna.

— Postaram się mem postępowaniem naprawić pani opinię o instytucji przyjaciółni.

— Zobaczymy! Ale niech mi pan z łaski swojej wytłumaczy, w jaki sposób znalazłam się na tym piasku, o ile sobie przypominam, ostatnią mą podstawą zanim straciłam przytomność była woda.

— Owszem! Wytłumaczę pod warunkiem, że pani wyjaśni mi, jak się stało, że z powietrza spadła pani na wodę. Co do piasku, to sprawa prosta: zauważyliśmy ja i mój przyjaciel...

— Och, znów — uśmiechnęła się Anna. Jest więc pan przyjacielem do kwadratu... Ale nie przeszkadzam.

— Lecieliśmy aeroplanem i zauważyliśmy kadłub samolotu, unoszony przez falę. Na skutek nieco cyrkowej ekwilibrystyki udało mi się przyholować go do brzegu. A potem pani się już obudziła.

— Ach, więc w panu mam powitać zbawcę! Powinam panu okazać wdzięczność, gdyby nie to, że miast przysługi wyrządził mi pan krzywdę. Tam, na oceanie — wskazała ręką ku wodzie — mogło się wszystko skończyć. A tak, dzięki łaskawości pana, muszę znów zaczynać po przegranej, a więc prawie bez szans.

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że póki życia, póty nadziei. Pozatem pozwalam sobie na rachunek pani szans wpisać moją osobę, jako sprzymierzeńca.

— Gotowam skorzystać z tego, gdyby nie to, że nie lubię mieszać nikogo do fatalnej kabały swego życia, a wreszcie nie budzi pan we mnie wielkiego zaufania. Mam wrażenie, że już kiedyś pana widziałam czy spotkałam. A ludzie, z którymi życie mnie zetknęło, nie budzili mego zaufania. Zawsze powodował nimi jakiś interes, który zasłaniał frazesami o przyjaźni.

— Życie jest splotem interesów — rzucił stropiony Zawucki.

— Dlatego też przynajmniej ja tęsknię za atmosferą bezinteresowności.

— To trochę komplikuje moją sytuację, rzucił hrabia. Gdyż rzeczywiście kieruje mną pewien interes.

— Nie powiedziałam! Cóż to jest?

— Uczucie sympatii dla pani, żeby nie powiedzieć więcej.

— Wystarczy, wystarczy — rzekła Amalvi, mimowoli kokieteryjnie sięgając ręką ku włosom; budziła się w niej kobiecość — nie jestem przygotowana na tego rodzaju wyznania. Swoją drogą pilno panu. Ledwie wyciągnął mnie pan z zimnej wody, jak rybe, i już takie gorące oświadczyły.

— Jak Venus — chciała pani powiedzieć — odparł hrabia, którego werwę podniecał sarkastyczny ton Anny.

— Pan studjował mitologię, więc zapewne nie obce są panu losy Ikara, co runął z pod słońca złudzeń w ocean zagłady.

— Znam także historję Pygmaljona i Galatei

— Nie ufam ludziom, którzy na wszystko mają gotową odpowiedź. Tacy rzadko mówią prawdę.

— Ale rzadko kłamia. Jest to zbyt banalne — kłamstwo. Wybieg dla złodzieja kieszonkowego. Dziś na prawdę składa się wiele czynników: nie tylko słowa, ale gesty, akcent głosu, może ją potwierdzać lub przeczyć...

— Pan jest mistrzem gry kłamstwa, mój wybawicielu. Wszystko u pana aż do ostatniego guzika od dycha prawdą, dlatego też panu nie wierzę.

— Jest pani dość doświadczona, żebym miał poddawać w wątpliwość podstawy jej nieufności względem ludzi. Lecz pozwolę sobie zwrócić uwagę, że wyjątek potwierdza regułę.

— Ach i zapewne do tych wyjątków przez skromność zalicza pan siebie.

— Jeśli pani to uzna — tak!

— Brawo. Uznaję! Cóż mam robić?

— Dziękuję! Ale do tej pory nie dowiedziałem się w jaki sposób spadła mi pani z nieba?

— W jaki sposób? W przykry, podcięto mi skrzydła.

— Biedna gołębic — rzekł prawie do siebie hrabia.

— Teraz znów po porównaniach z mitologii sięga pan do zoologii, do gołębnika. Pan jest czarujący pochlebca, zbawco! Lecz mimoto powiem panu całą prawdę, gdyż i tak pan mi nie uwierzy. Jestem gołębicą — przypuścmy, lecz o bardzo zbrukanych, krwawych skrzydłach. Jestem agentką bolszewickiego wywiadu. Ostatnio grałam wielką grę, no, i przegrałam. Teraz jest mi już wszystko jedno. Nie mam sił do walki. Straciłam ostatni atut, a przez to możność osiągnięcia celu mej nędznej egzystencji. Milczysz pan, nie próbujesz mnie pocieszać. No tak, cóż tu pomogą słowa wobec mej bezsilności.

— Jak się to stało? — wtrącił Zawucki, chcąc skierować uwagę Anny ku bardziej realnym szczegółom i oderwać jej myśl od tych żalonych nastrojów.

— Bardzo prosto! Leciałam z Genewy do Londynu, zaopatrzona w pewne dokumenty, za których cenę miałam osiągnąć mój cel. W Paryżu, w czasie postoju, porwano mi pilota, człowieka zaufanego. Na jego miejsce wsiadł członek niemieckiego wywiadu. Niestety zauważyłam to w chwili, gdy aeroplan zaczął jakoś manewrować u brzegów Anglii. W pewnej chwili opadł na wodę, obok wielkiego jachtu. Mój pilot zwrócił się do mnie z rewolwerem w rękę:

— No, teraz się policzymy — rzekł po niemiecku. — Proszę oddać tękę z papierami. Zaczęłam się szamotać. Zemdlałam. Po jakimś czasie przyszedł do przytomności, wydostałam się z kabiny. Mój samolot zanurzony do połowy w wodzie, kołysał się na oceanie. W dali majaczył brzeg Anglii. Byłam sama, zdana na łaskę fal i pastwę mej wściekłości.

— Więc jest pani zdania, że to wywiad niemiecki ukraść jej te papiery.

— Tak jest! Chodziło tu o odpis tajnego układu niemiecko-ukraińskiego. Chciałam go sprzedać G. P. U. w zamian za pewną ważną dla mnie koncesję. W niewytłumaczony bliżej dla mnie sposób dowiedzieli się o tem Niemcy. Ajenci ich zaczęli mnie prześladować. Nachodzić. Usiłowano mnie przekupić. Grożono. Niestety, nie mogłam ustąpić. Ten dokument stanowił cenę życia najdroższej mi istoty!

— Ach tak? — westchnął hrabia.

— Tak! Mego ojca!

Hrabia odetchnął z ulgą.

Amalvi, widząc to, uśmiechnęła się.

— Jest pan takim samym egoistą, jak każdy mężczyzna.

Hrabia milczał.

(D. c. n.)



„CZESKOSLOVENSKA REPUBLIKA” O CZESKO-POLSKIM ZBLIŻENIU

Z pośród głosów prasy czeskiej, omawiającej ostatnio dążności zbliżeniowe polsko-czeskie, na szczególną uwagę zasługuje artykuł p. t. „Czesko-polska konferencja na Śląsku Cieszyńskim”, zamieszczony w numerze z dnia 9 lutego r. b., poważnego dziennika stołecznego „Czeskoslovenska Republika”, uchodzącego ogólnie za organ zbliżony do prezydium rady ministrów w Pradze.

Artykuł ten jest wielkim krokiem naprzód w dziele przygotowania spokojnej i życzliwej atmosfery dla naprawienia stosunków polsko-czeskich i dlatego musi być z uznaniem przez stronę polską powitany.

W wielu miejscach artykuł ten wypowiedziada dosłownie te same poglądy, jakie i my mamy na sprawy, interesujące oba narody.

„Czeskoslovenska Republika”, omawiając stosunek prasy krakowskiej do Czechów, pisze m. in.: „Po przewrocie, gdy oba narody się wyzwoliły, nietylko świadomość, iż są spokrewnione, ale i względy polityczne wiodły je i musiały przywieść do poznania tego, że jest poprostu koniecznością, aby przez rozumną ugodę usunęły wszystkie nieporozumienia, które właściwie nigdy nie były tak wielkie i tak głębokie, aby z powodu nich i dla nich zapominać o daleko większych celach i ważniejszych potrzebach”. Po tem stwierdzeniu

konieczność zgody polsko-czeskiej dziennik podkreśla iż i prasa krakowska odnosi się obecnie z sympatją do zamierzonej akcji porozumienia i że życzy jej powodzenia.

Powodzenia tego bardzo życzy sobie nietylko Polska, ale i Czeskosłowacja i zauważa „Czeskoslovenska Republika” pisząc, iż na pomyślnym wyniku tej konferencji zależy: „Nietylko Polsce, ale i także nam (Czechom). Jeżeli konferencja miejscowych czynników czeskich i polskich przestudjuje dokładnie wszystkie przedłożone zażalenia i wspólnie stwierdzi, ile w nich jest prawdy a co polega tylko na nieporozumieniu, to taki rezultat powita nasze państwo radośnie, albowiem zależy nam na tem, abyśmy tak z polską mniejszością, jak i z całym wielkim polskim narodem żyli w doskonałej przyjaźni i zgodzie”.

Ustępowi temu może ludność polska tylko przyklasnąć, bo i my chcemy z narodem czechosłowackim żyć w trwałej przyjaźni i zgodzie, czego dowód daliśmy, wyciągając pierwsi dłoń do zgody. Cieszy nas to, że poważne i miarodajne czynniki czeskie w Pradze zrozumiały intencje nasze i do konferencji zbliżeniowej ustosunkowały się nietylko rzeczowo, ale i życzliwie.

Z prawdziwym zadowoleniem powitać musimy też końcowe oświadczenie omawianego artykułu „Czeskoslo-

venskiej Republiki”, zawarte w następujących słowach:

„Nigdy jednak przyczyną tych waśni i nieporozumień (polsko-czeskich) nie był u nas zamiar, aby polską mniejszość krzywdzić i sztucznie hamować jej kulturalny, polityczny i gospodarczy rozwój. Chodzi i może chodzić jedynie o drobne waśnie o charakterze czysto lokalnym, które podczas obrad mogą być wyjaśnione i załatwione.

Nie mamy absolutnie żadnego interesu w jakimkolwiek ucisku polskiej mniejszości, naodwrot nasze państwo ceni sobie lojalność naszej polskiej ludności i potrafi ją ocenić. Dlatego tem więcej witamy konferencję której wynikiem, jak ufamy, będzie szczerze porozumienie”.

Warto, aby te słowa jednego z najważniejszych dzienników czeskich dotarły nietylko do całej naszej mniejszości, ale też i do tych, z każdym dniem, chwała Bogu, coraz więcej odosobnionych działaczy czeskich na Śląsku Cieszyńskim, którzy w swem zaślepieniu i błędnie pojętym nacjonalizmie nie doceniają dążeń zbliżeniowych czesko-polskich i próbują iść w poprzek coraz więcej wzbierającej fali solidarności słowiańskiej. Miejmy nadzieję, że czas, który jest najlepszym lekarzem i ich wyleczy.

J.

HUMOR

W sądzie.

— Oskarżony zapewne żonaty?
— Nie, panie sędzio, te dziury w głowie mam jeszcze z czasów wojny!

W szpitalu.

— Ilu zmarłych mamy dzisiaj? — zapytuje lekarz dyżurny.
— Dziewięciu.
— Zdaje mi się, że wczoraj zapisał dziesięć recept.
— Tak, ale dziesiąty chory nie chciał wziąć lekarstwa — i żyje.

Sprytny.

M a t k a d o s y n a: Weź sobie garstkę orzechów.
S y n: Niech mi mama da.
— Dlaczego sam nie możesz wziąć?
— Bo mama ma większą rękę.

Żyd na okręcie.

Podczas silnej burzy na morzu, gdy okrętowi groziło rozbicie, żydek w trwodze woła:
— Panie kapitanie, każcie stanąć! Ja wysiądę i pójdę piechotą.

Na lekcji religji.

— No, a teraz proszę mi powiedzieć, co się ukazało po potopie?
— „Pan Wołodyjowski”, proszę księdza prefekta.

Na złość...

— A cóż to pani dzisiaj w takiej głębokiej żalobie?
— To po mężu, proszę pana.
— Jakto, więc znowu drugi mąż pani umarł?
— E nie, tylko widzi pan, kiedy się gniewam z drugim, to na złość mu kładę żalobę po pierwszym...

Między sąsiadkami.

— Proszę pani, jestem tak zmarła!
— Dlaczego?
— A, bo mój kogut przeszedł do ogrodu pani i uczynił tam spustoszenie!
— Ech, to nic nie szkodzi! Mój pies pożarł przed chwilą koguta pani!
— To również nic nie szkodzi!
— Dlaczego?
— Mo mój mąż przejechał właśnie psa pani samochodem.

Matematyka w mleczarni.

— Ile wasza krowa daje dziennie mleka? — pyta pani gospośi wiejskiej.
— Osiem litrów.
— I cóż wy robicie z tem mlekiem?
— Trzy litry zjadamy sami, a dzieś się sprzedajemy do miasta.

Z LITERATURY I SZTUKI

Z SALONU SZTUKI.

W salonie J. P. G. zwraca uwagę wystawa grupy „wolnomalarzy”. Charakteryzuje ich twórczość karykaturalne przedstawianie ujemnych stron życia.

Nie przeczymy, i taką bywa rzeczywistość i kto wie czy dość właściwym lekarstwem nie jest bezlitosny, szyderczy, brutalny śmiech karykaturzysty.

Ten śmiech zawisa nad nami, jak nóż rzeźnika nad barankiem naszego głupiutkiego, płyciutkiego, ekstatycznego uwielbienia współczesnej rzeczywistości, która ma także i swoje ohydne zaufki.

Być może, trzeba postawić krzywe zwierciadło współczesnemu „zbrojnemu pokojowi”, „sprzedajnej miłości”, „uciechom kieliszka”, „cyrkowemu baletowi”, odzwierciedlającemu tęsknoty estetyczne tłumy, wilegaturze nad ryzsztokiem i w oparach fabrycznej metropolji i wielu innym „zdobyciom” współczesnej cywilizacji.

Zadługo już pokornie milczano, zabardzo już wychwalano jej zdobycze, jest pora stosowna, by porządnie nawymyślać, wykpić, wyszydzić, oplwać śmiechem bez miłosierdzia.

Patrz-że ty, homo sapiens, żyjące za 20 zł. zapomogi P. U. Z., że twe ciało jest nędznym padłem, zżartem przez alkohol i sekretną chorobę, a twa parszywa dusza ubrana we frak kłamliwej dyplomacji, wymyśliła takie ohydne, cyniczne kłamstwo, jak Liga Narodów i zbrojne rozbrojenie.

W twarz wam pluje litość moją — wołał już Wyspiański. Ostatecznie napluć solidnie byle kto nie potrafi.

Strona techniczna wolnomalarzy — mutatis mutandis i salva reverentia — przypomina nam przez swe prymitywne chwytły i środki średniowieczne „sądy ostateczne”, albo „siedem sfer piekielnych”, albo śmierć „ściga wszystkie stany, pany i dworzany, kupce i głupce, nic człowiecze przed nią nie uciecze”.

Wszystko jest tam wymalowane płasko, a P. Bóg jest in gloriam majestati dwa razy większy i ma brodę do kolan. Trudno się też sprzeczać dlaczego djabeł ma lewą łapę trzy razy większą od prawej, zapewne ponieważ w lewej trzyma dłużników, a w prawej wierzycieli, a wiadomo, że wierzyciele jak ciełe, za dłużnikami choćby w piekło wliżą z nogami...

Kiedy wyszedłem z wystawy, spojrziałem na niebo, czy niema tam jakiego „znaku końca świata”, „sądu ostatecznego”. Bądź co bądź dreszcz eschatologicznej grozy wolnomalarze mogą w widzu wywołać. A jeśli nie dreszcz, to choć zdziwienie, że taka ludzkość jeszcze się trzyma.

Rafał Malczewski jest niewątpliwie niepokojący w swym wyrazie artystycznym. Zapewne jest to stylmat dziedzictwa.

Jego pejzaż nie jest realnym, jest syntezą rzeczy widzianych, które w duszy artysty zespoliły się w przedziwną, zupełnie nową harmonję, symfonię kształtów i barw. Dziw więc bierze, iż jednak Rafał, podobnie jak Jacek Malczewski ma jednak tyle jeszcze zrozumienia dla barwy lokalnej, dla realnego kolorytu natury. Z tem wszystkim jednak Rafał opowiada nam swój własny mit o naturze swoistemi środkami, jako kongenjalny koadjutor Creatoris, gromadzi bryły i płaszczyzny, krasie je jaskrawo, soczystą posoką tęczyowych, barw, słowem buduje swą własną pyszną wieżę Babel i niezdojbyte cyklopie mury. Tatry z pod jego pędzla to są Tatry jego prywatne, wyczarowane we własnej duszy, nie znajdziemy ich ani na żadnej mapie, ani wśród żadnych innych „widzeń artystycznych” Gersona, Kowalewskiego, Popowskiego, Jarrowkiego, czy Pilattiego.

Wielopłaszczyznowe widzenie świata, załamywanie się i zachodzenie sfer, tak charakterystyczne u formistów, od których zależy częściowo mistrz Rafał, w pejzażu jego znalazło zupełnie naturalne, logiczne wyjście. Można by powiedzieć, że owe majaczenia pierwszych formistów to były erupcje ich nostalgji za górami, które są przecież „pur sang” „formistyczne” — aż nieomal po granice „pur nonsense”.

Recenzja z Nr. 5 i 6, pióra p. J. Czarneckiego, została wyróżniona na konkursie Inst. Prop. Sztuki. J. Cz.



OSKAR SOSNOWSKI.

Wielkim artystą jest Oskar Sosnowski. Jego dzieła cechuje śmiały polot fantazji, która na tle motywów architektonicznych wznosi się hymnem poetyckiego nastroju prosto w niebo.

Sosnowskiemu marzą się gigantyczne dzieła. Chciałby rzeźbić skały, górskim wichrom budować harfy niebosiężne, wznosić kurhany na dalekich stepach, gdzie ziemia pierśią wspiera się o niebo. Opanowują go potężne wizje pierwszych dni stworzenia, kiedy wśród chaosu powstawały światy, rozdziły się minerały i kiedy przelewały się fale olbrzymich potopów, zielonemi jezorami skłębionych wód polykających całe lądy i kontynenty.

A potem śni mu się dolina Józafata, miejsce ostatecznego spoczynku i wyrównania walk, zatargów i zmagañ całej ludzkości, potężna amfiteatralnie spiętrzona kotlina, pokropiona błędem światłem księżyca wiekuistej rezygnacji.

W tych wizjach niema właściwie miejsca na człowieka jako jednostki, conajwyżej zjawia się jakiś posąg Mojżesza przed synagogą, lub snują się bezosobowe tłumy pątników u stóp gigantycznej, oryginalnej w pomyśle świątyni Matki Boskiej Gromnicznej, o dachu wylamanym w kształcie wieka trumny. Memento mori, memento bene vivere!

Jakieś mauzolea, muzea, archiwa, zamki, potężne swym ogromem, siłą i zwartością kształtu, zdolne przetrzymać pokolenia całe, a wszystko zrośnięte, a raczej wyrastające wprost organicznie z gleby z naturalnego podłoża, zespolone z niem charakterem kompozycyjnej barwą, mocą.

Gdy patrzy się na te fenomeny gigantomachji artystycznej z podziwem niemalym, trudno jest uwierzyć, że ten sam twórca wycina cierpliwie w papierze drobne listeczki i niteczki nieomal pajęcze, że ma tak wrażliwe oko na najsubtelniejsze odczucia znikomego kształtu. Powiązać w twórczej świadomości liść brzozy i kształt falującej pramaterji, to zaiste fenomen niezwykły. Powiązać tak, by potem nie mógł nigdzie ugodzić grot krytyki, jak ongis grot Hagena.

Bo też Sosnowski umie czytać w najdrobniejszym kamyku odbicie kosmicznej aury, technienie wieków, a jednocześnie w zwaliskach skalnych fantazja jego rzeźbi olbrzymi stadjon, na którym różegrywa się wiekuiste igrzysko życia i śmierci.

J. Cz.

Z PIŚMIENICTWA

EDISON MARSHALL: Wyspa fok. Wyd. św. Wojciecha. Przekład Jerzego Marlicza.

Powieści sensacyjne mają swój sens i rację bytu wtedy, gdy uczą nas jakiejś nowej dziedziny życia. Studja nad rzeczywistością zmieniły swój ośrodek od czasu braci Goncourtów, zbierających dokumenty ludzkie. To już nie studja poszczególnych dusz, lecz całych środowisk, krajów, narodów, warstw społecznych, gałęzi pracy ludzkiej. Powieść taka, oparta na autentycznej obserwacji i studjach autora, ma znaczenie nie tylko artystyczne, lecz i poznawcze. Zaznaczył to w „Logice ekonomji” Z. Heryng; dla poznania zjawisk gospodarczych i społecznych, podług niego, niemało jest żywego materiału w powieściach współczesnych.

„Wyspa fok” opisuje wyspy Aleuckie i połów fok. Wyspy Aleuckie należały kiedyś do Rosji i tak samo, jak Alaska, zostały kupione przez Stany Zjednoczone. Ze zdziwieniem dowiadujemy się, że Rosjanie podczas krótkiego panowania zdążyli nawrócić Aleutów-pogan na prawosławie. Dotąd mają oni swoich popów. Stany Zjednoczone, lepiej obchodząc się z tubylcami, nie zjednały sobie jeszcze ich zaufania.

Na tle napadu zbójckiego na wysepę w celu zbogacenia się połowem w rezerwacie foczym rozgrywają się walki i przygody. Uczucie patriotyzmu i praworządności triumfuje w duszy dzielnego wykołajeńca — Loringa. Bolszewik, który aż tu zawędrował, wnosząc rozkład i upodlenie, zostaje zwyciężony. Jak wszystkie wydawnictwa św. Wojciecha, jest to dobra i zajmująca lektura dla rodzin.

A. Z.

PAWEŁ FIPPER: Zwierzęta patrzą na ciebie. Tłumaczenie według czterdziestego wydania. Wyd. „Gutenberg” — Kraków.

Ta impreza niemiecka na polskim gruncie, nie budzi zaufania pomimo bardzo pięknej szaty zewnętrznej. Książka o zwierzętach przedewszystkiem powinna trafić do młodzieży. Jest to wykluczone, co do książki Eipperera, gdyż bardzo dużo miejsca poświęcono tam życiu płciowemu zwierząt. Wielka szkoda, gdyż zainteresowanie przyrodą należy do zdrowych i pożytecznych zajęć młodzie-

ży. Takie książki o zwierzętach, jak np. Delmonta „Zwierzęta w filmie” (wyd. Arcta) cieszyły się wielkim powodzeniem. Ciemną plamą na naszej produkcji książkowej było wypuszczenie w wydawnictwach dla młodzieży (Książnica-Atlas) dzieł znakomitego przyrodnika Fabre’a, który tak samo poświęcił dużo miejsca badaniom nad życiem płciowem owadów. Ale to już wszystko wchodzi w jeden system, „Dzieje grzechu” z literatury, Fabre — z przyrody dla niedorostków.

Obserwacje Eipperera są ujęte w formę literacką, w lekkie impresje w rodzaju Piotra Altenberga. Zajmujące są niewątpliwie, pozwalają nam zajrzeć w ciemny świat psychiki zwierzęcej, poznać różnorodność stworzeń, zaludniających dziewicze ogrody i morza ziemi. Tylko czy ludzie znajdują w tej książce więcej niezdrowej sensacji, czy też materiału do wniosków naukowych, do poznania niższego świata stworzeń? A. Z.

DONN BYRNE: Dom kata. Z upoważnienia autora przełożyła S. Kuszelewska. Wyd. „Rój”.

Katolicka Irlandja, zmagająca się z przemocą polityczną i protestantyzmem, zawsze była dla nas bliska i sympatyczna. Losy jej niekiedy przypominają Polskę, gdy jeszcze dążyła do wolności.

Pisarze pochodzenia irlandzkiego częstokroć należą wprost do literatury angielskiej np. Tomasz Moore. Ale są tacy, którzy noszą na sobie całkiem oryginalne piętno irlandzkiego pochodzenia, nawet, jeżeli — piszą po angielsku, np. Jeats, Lynge, skandaliczny zresztą Joyce, autor „Ulyssesa”.

Takim pisarzem bardzo irlandzkim jest Byrne. Jest w jego książce konspiracyjny ruch narodowy, patriotyzm wieśniaków irlandzkich, ale jest obok tego dużo pięknej przyrody i sportu. Typy są nowe i oryginalne. Kierunki polityczne Irlandji nie bardzo są dla nas zrozumiałe, gra polityczna lorda Glenmalure dla dalekich czytelników z kontynentu wymagały komentarza.

Powieść kończy się likwidacją ruchu powstańczego. Major Hogan, który w tysiącu przebrań ukrywa się przed rządem angielskim, wspomagany przez tysiące rąk konspiracyjnych drużyn powstańczych odjeżdża do

Afryki. Francuzi „już nie są za ręką”, już nie idą na odsiecz powstaniu irlandzkiemu, podobnemu do polskiego wiarą w pomoc Francji. Czyż to ma być wyrazem irlandzkiej rezygnacji z niepodległości? Trzeba dodać, że zdarzenia te rozegrywają się po wojnie japońskiej.

Powieść ta daje nam przekrój życia, tak odmiennego od naszego. Ludzie inni zewnętrznie, inni wewnętrznie. Rudowłosi i niebieskoczy, kochający swe gończaki i wyścigowce, oddychający zapachem koniczyny. Zielony Eryn! Nię chcą oni, by obcy wypasali na ich ziemiach owce, gdy dzieci ich giną z głodu.

Nie widzimy tylko tej katolickiej Irlandji, o której wiemy tak wiele, widzimy zacząć kwakierkę i komicznego starego wieśniaka, nie umiejącego pojąć rozkoszy Królestwa niebieskiego bez fajki i szynku. Nie widzimy serca Irlandji, opartego o Chrystusa.

A. Z.

KS. JAN ŚLÓSARCZYK: August Czartoryski. Warszawa 1932. Nakł. KsKs. Salezjanów. Str. 367.

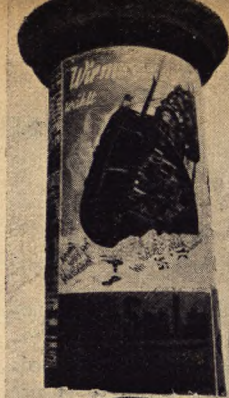
Na bogatej kanwie dokumentów, korzystając ze wskazówek J. Em. Ks. Kard. Augusta Hlonda, stworzył autor piękną i wyczerpującą monografię wielkiej postaci „księcia-salezjanina”.

Zadaniem autora było nakreślenie psychologicznej sylwetki wybitnego patrioty i kapłana, na którego życie i czyny wywarła głęboki wpływ sława, świętość i dary nadprzyrodzone ks. Bosko.

Życie wewnętrzne księcia Augusta przedstawia bogatą dziedzinę dla głębszej analizy. Zawsze jest interesujące, jak w duszy ludzkiej narastają warstwami przeżycia i wzruszenia, które tworzą charakter, zwłaszcza zaś jest to interesujące, jeśli chodzi o człowieka, który zwraca się całą siłą swej duszy ku Bogu, całe swe życie nasyca treścią religijną.

Ks. Ślósarczyk z prawdziwą maestrią przedstawił rozwój i narastanie w psychice ks. Augusta religijnych aspiracji i wzlotów.

Pokażne nie tylko objętością, ale i metodą biograficzną dzieło ks. Ślósarczyka jest doniosłym przyczynkiem do oświetlenia postaci ks. Augusta, którego niezwykle cechy i zalety duszy wskazuje nam, jako godnego wstąpienia na ołtarze świętych.

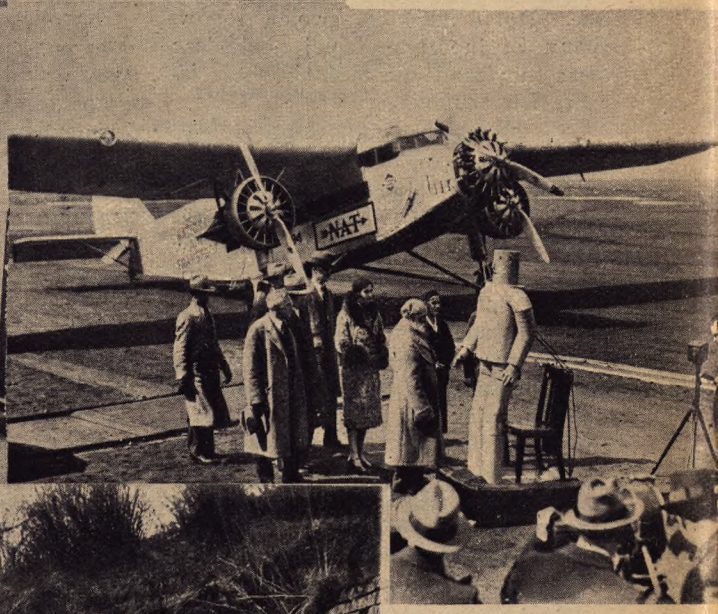


Neapol. Msza na placu przed zamkiem królewskim z racji 50 włoskich pułków alpejskich.

Gurgl. Transportowanie gondoli profesora Picarda z lodowca szwajcarskiego, na który opadł po swym locie do stratosfery.



Berlin. W czasie agitacji wyborczej w Niemczech rozklejano wiele plakatów o bardzo interesujących rysunkach. Mamy tu (na lewo) plakaty nacjonalistów i komunistów (na prawo) socj. dem. i hitlerowców.



Paryż. Plakat wyborczy, francuski, przedstawiający Poincarę, który jeszcze w r. 1926 mówił o groźbie porozumienia socjalistów i komunistów.

Paryż. Na przedmieściach stolicy Francji mieszkają ludzie w norach, jak troglodyci.



Newark. Na jednym z lotnisk amerykańskich rolę startera spełnia „człowiek” maszyna, zbudowany przez fabrykę Westinghouse.



NA FALACH CZASU

Rezultat wyborów parlamentarnych w Niemczech miał być, jak to poprzednio pisaliśmy, właściwą oznaką dalszego rozwoju stosunków politycznych Rzeszy. Pomimo wybrania prezydenta Hindenburga, powszechnie zwracały uwagę wielkie sukcesy Hitlera. Rosnącą popularność Hitlera potwierdziły wybory do sejmów w Prusach, Bawarii, Wirtembergji, Anhalcie i Hamburgu. Szczególnie jaskrawo uwidoczniła się zwycięstwo hitlerowców w największym państwie związkowym Rzeszy w Prusach. Ilustruje to poniższe zestawienie podające liczbę mandatów poszczególnych stronnictw w obecnym i poprzednim sejmie pruskim: socjaliści 93, poprzednio — 137, niemiecko-narodowi 31, poprzed. — 71, centrum 67, poprzed. — 71, komuniści 57, poprzed. — 48, partja ludowa 7, poprzed. 40, partja państwowa 2, poprzed. — 22, hitlerowcy 162, poprzed. — 9. W poprzednim sejmie pruskim rządziła większość 230 posłów, złożona z 137 socjalistów, 71 centrowców i 22 partji państwowej. W obecnym sejmie liczba posłów dawnej większości spadła do 162 mandatów, czyli dawna większość zamieniła się w mniejszość. Obecny rząd pruski, oparty głównie na socjalistach i centrum, stracił podstawę w sejmie pruskim. Ale nie zyskała też większości dotychczasowa opozycja pravicowa złożona z hitlerowców, niemiecko-narodowych i partji ludowej. Razem te stronnictwa zdobyły 205 mandatów, czyli do bezwzględnej większości (212 posłów) brakuje im 7 mandatów. Dopiero z komunistami dotychczasowa opozycja pravicowa miałaby większość, ale o współpracy hitlerowców z komunistami nie może być mowy, gdyż obie te partje zięją do siebie nienawiścią, wyładowywaną w krwawych porachunkach na rewolwery i noże. Zato dotychczasowa opozycja pravicowa z centrowcami rozporządzała by dużą większością, bo liczącą aż 272 mandatów. Ale, aby do tej większości doszło, musieliby się Hitler i Hugenberg, wódz niemiecko narodowych, dogadać z kanclerzem Rzeszy Brüningiem, wo-

dem centrum, a także z Hindenburgiem. Kto wie, czy nie dojdzie do porozumienia tych 3 H. W każdym bądź razie nie tak odrazu należy oczekiwać ustąpienia od rządów w Niemczech socjalistów. Obecnie socjaliści potrzebni są dyplomatom niemieckim do wygrywania radykałów i socjalistów francuskich i angielskiej partji pracy. Ale te machinacje najwyższych czynników w Niemczech nie



Wiejski kościółek.

mogą nam przesłonić faktu, że Hitler, który reprezentuje żywiły odwetowy w Niemczech, rośnie stale w siły i ma dziś najsilniejszą partję w Niemczech. Hasła hitlerowców poruszyły do głębi społeczeństwo niemieckie. Ba! dawna dynastia Hohenzollernów postawiła na hitleryzm, nie szczędząc pieniędzy na organizację i kampanję Hitlera. Zresztą Hitler okazał się zwycięskim wszędzie. W takiej ultra-katolickiej Bawarii zdobył wobec dawnych 9 obecnie 32 manda-

ty. To też hitleryzm natychmiast pokazał rogi nawet wobec Francji. Oto dnia 25 kwietnia, wtargnęła w okolicach Metz bojówka hitlerowska, licząca 150 ludzi w celu odbicia zaaresztowanego przez straż celną przemytnika-Niemca. Co za czelność! Z jednej strony atak na granicę francuską, z drugiej zagrożenie Polski, czego możemy dopatrywać się w usadownieniu głównego sztabu Hitlera w Gdańsku. Z tych wszystkich konsekwencji ostatniego zwycięstwa Hitlera w wyborach należy zdać sobie sprawę.

Wybory francuskie stanowiły także interesujące zjawisko polityczne w miesiącu maju. Z 615 posłów, którzy wejdą do przyszłej Izby Deputowanych, 247 wybranych zostało podczas pierwszego głosowania. Wielka liczba ściślejszych wyborów ma swe uzasadnienie głównie w braku głębszych prądów politycznych, które potrafiłyby skupić koło siebie szersze kręgi społeczeństwa francuskiego.

Zasługuje na uwagę, że wszyscy przywódcy większości byłej Izby Deputowanych, a mianowicie: Tardieu, Reynaud, Rollin, Flandin, Marin, zostali ponownie wybrani ilością głosów na ogół większą, aniżeli cztery lata temu. Sytuacja wyborcza szeregu partji lewicowych jest również pomyślna. Co do skrajnej lewicy, to, o ile panuje zadowolenie, że Blumowi udało się przejść w pierwszym głosowaniu, to o tyle klęska Faure'a wywarła silne wrażenie. Inni szefowie partji socjalistycznych, jak Bedouce i Frossard, podlegają ściślejszym wyborom. Do ściślejszych wyborów przystąpią również wybitni szefowie partji komunistycznej: Cachin i Marty. Jedyne Doriot z trudnością uzyskał potrzebną ilość głosów w pierwszej turze.

Stronnictwa pravicowe z unją republikańsko-demokratyczną czyli t. zw. grupa Marin'a która w r. 1928 liczyła 98 wybranych posłów przy pierwszym głosowaniu uzyskała obecnie zaledwie 70 mandatów. Liczba wybranych wczoraj radykałów natomiast wynosi 66, socjalistów 40, wobec 16 radykałów i 14 socja-

listów, wybranych w pierwszej turze w r. 1928.

Statystyka dzisiejsza wykazuje jedn mandat komunistyczny wobec 8 w r. 1928. Drugie wybory wyjaśniły sytuację jeszcze nieco na korzyść obozu radykalnego. Jednak wyniki wyborów nie zaciążają na polityce zewnętrznej, w wewnętrznej polityce głównym przedmiotem będzie odbudowa zaufania.

Francją i światem wstrząsnęła wieść o zamachu na prezydenta Francji Doumeura. Jest w tem straszliwe memento i jednocześnie haniebne świadectwo, moralności ludzi cywilizacji", którzy swe idee realizują bombą, rewolwerem i sztyletem.

Kryzys dosięga wszystkich. Ameryka w związku z kryzysem chce zmniejszyć wartość dolara o 35%, aby przez to ożywić życie gospodarcze. Na konferencji ekonomicznej u prezydenta Hoovera oświadczył on, że gotów jest zrzec się swych praw konstytucyjnych i poddać się redukcji swej pensji choćby o kwotę 74.999 dolarów. Pensja prezydenta wynosi, jak wiadomo, 75.000 dolarów, czyli, że — jak dedukują z oświadczenia tego pisma amerykańskie. — Hoover gotów jest pobierać za swe czynności i reprezentację... 1 dolara rocznie. Nawiasem mówiąc ludzie, którzy bywają w Białym Domu twierdzą, że i obecna pensja prezydentowi nie wystarcza.

Są jednak w Ameryce bogacze, jak min. skarbu Mellon, którym kryzys nie jest w stanie nic zrobić. Majątek jego wynosi 10 miliardów t. j. 1/30 całego majątku narodowego. Ten mógłby coś dać.



Widok Domu Katolickiego od strony ul. Nowogrodzkiej. (Na pierwszym planie sąsiednia posesja).



Dom w Karolinie. Widok od ogrodu.

Ratowanie waluty to rzecz obchodząca wszystkich.

Metropolita Aten, po odbyciu konferencji z czynnikami rządowymi w sprawie utrzymania parytetu złotego drachmy — oświadczył, iż 1.300 cerkwi prawosławnych Grecji gotowe jest oddać złote i srebrne naczynia liturgiczne oraz inne kosztowności skarbowi państwa.

Każda cerkiew złoży do skarbu na 10.00 drachm kosztowności.

Akcja kościoła prawosławnego w Grecji, celem poparcia waluty, wywołała wielkie wrażenie w całym kraju i będzie jak się zdaje zapoczątkowaniem wielkiej kampanji społecznej na rzecz oddawania prywatnych kosztowności skarbowi.

Układ stosunków między Japonją i Chinami uległ nieoczekiwanej zmianie. Zamach bomby dokonany przez koreańskiego komunistę na sztab japoński,

doprowadził do zgody japońsko-chińskiej wobec niebezpieczeństwa sowieckiego.

Układ o rozejmie podpisany był przez głównego delegata japońskiego, posła Szigemitsu, gen. Ujedę i Quotaiczisa w szpitalu, gdzie delegaci japońscy są leczeni po wybuchu bomby w czasie tragicznej rewji wojsk japońskich. W ubiegły piątek. Szigemitsu, który miał być właśnie za chwilę poddany amputacji nogi po podpisaniu układu zwrócił się do delegata chińskiego ze słowami: „Niech pan będzie łaskaw oświadczyć swojemu narodowi, że Japończycy i Chińczycy pozostaną nazawsze przyjaciółmi”.

Sprawa mandzurska nie jest objęta układem rozejmowym.

Listy pasterskie J. Em. ks. Prymasa Dr. Hlonda mają to do siebie, że choć wzlatują w górę jak orły, nie pozostają w krainie teorii i ideałów, ale w przedziwny sposób „łączą wieczność z teraźniejszością”. W przedziwny sposób, gdyż są jakby balsamem na krwawiące rany polskiej duszy, odświeżającym źródłem dla cnót publicznych, kamieniem probierczym dla t. zw. nowoczesnych ideałów i metod życia zbiorowego. Kiedy enuncjacje różnych działaczy naszych bywają nieraz tak roznamietnione, że możnaby o nich powiedzieć słowami Mickiewicza: „Utraciwszy rozum w mękach długich, plwają na siebie i żrą jedni drugich” — słowa Prymasa Polski łagodzą spory, oświetlając je blaskiem prawd wiecznych, wobec których topnieje powłoka zepsucia i na powierzchnię wydobywa się szlachetna i rycerska dusza polska.

Do takich listów należy i ostatni „O chrześcijańskich zasadach życia państwowego”, z dnia 23 kwietnia b. r. List ten jest prawdziwym posiewem wiosennym na dziedzinę zagadnień długo w Polsce stojącą ugorom, jest prawdziwym deszczem majowym na rolę spękaną od żaru partyjnictwa i stratowaną pociskami pomieszanych pojęć.

TO, CZEGO SIĘ KREML BOI

W olbrzymim państwie czerwonych carów nigdy nie mał nie można określić konkretnie sytuacji. W kotle sowieckim bowiem wre bez ustanku. Nigdy nie wiadomo, co będzie. Są wszakże pewne konkretne fakty, które można mniej więcej dokładniej określić.

Sławetna „piatiletka” ciągle jest zagadnieniem, bodaj że najaktualniejszym i najważniejszym. Realizacja planu pięcioletniego zdaje się być tak ważną dla Sowietów, że czynią one — o ile sądzić można — gwałtowne wysiłki, by się nie dać wciągnąć w wojnę przez Japonję, aczkolwiek rewolucyjna Rosja sowiecka, dążąc do rewolucji wszechświatowej, z natury rzeczy dążyć musi do wojny, do niepokoju, do mącenia wody, w której wszak łatwiej łowić ryby.

Czerwona rewolucja zmieniła oblicze Rosji. Przeobrażała boleśnie aż do głębi wszystko, na czem stara Rosja stała. Zrobiono z człowieka niewolnika i to w takim stopniu, jakiego nawet dawne wieki nie znają. Zakuto mu bowiem duszę w kajdany i skazano na funkcję pionka w olbrzymiej maszynie państwowej. Wytepieno inteligencję. Zburzono świątynie, wystrzelano lub pozesyłano duchownych. Wydano walkę Bogu oraz religji i — idzie walka o wyrwanie wiary z serca.

Uczyniono nietylko niewolnika z obywatela, lecz również z całego państwa, które z jednej strony jest ciemiężone przez czerwonych tyranów, a z drugiej zdane na zupełną zależność od Niemiec, wobec spoczywania w rękach niemieckich „speców” całego przemysłu rosyjskiego. Jest to zresztą jedno z dalszych ogniw w długim łańcuchu wiekowej niewoli, w jakiej Rosja zawsze się znajdowała, czy to pod panowaniem białych, czy też czerwonych carów. Zawsze Niemcy rządili Rosją.

O skutkach panowania bolszewickiego w Rosji wiadomo mniej więcej powszechnie: nędza duchowa i fizyczna, oraz ogólne przygnębienie, graniczące z rozpaczą. Zabrano człowiekowi Boga i zastąpiono go maszyną lub traktorem. Lecz na tem nie koniec. Skutki te są gorsze i groźniejsze, niżby się zdawać mogło. Rolnik bowiem przestał dla państwa pracować. Nie sieje, bo to, co zbierze, nie jest jego własnością, lecz państwa. Daje bydłu ginać, bo pocóż mu ono potrzebne. Narzędzi rolniczych nie naprawia i nie uzupełnia. Wszystko to jakby poto, ażeby się państwo tem rychlej przekonało, iż musi zginąć, jeśli tak dalej pójdzie. Nie pomagają nic ekspedycje karne! Tak więc stalinowska kolektywizacja złamała stos pałacowy rosyjskiemu komunizmowi. Albowiem przeciwko stu kilkudziesięciu milionom chłopów niepodobna będzie walczyć à la longue, a w niewolnikach nie zabito jeszcze duszy całkiem. Rusza się ona jeszcze.

Głównym narzędziem bolszewickim przy realizacji swego programu jest „odchrześcijanienie” dusz przy pomocy kultury bolszewickiej. Polityczny bolszewizm ma przedewszystkiem na celu ten właśnie kulturalny bolszewizm. Zaszczepia go się już dziecku i młodzieży, wytrzebiając z ich dusz wszystko, co ma związek z Bogiem

i religją. A zatem wyrwać człowiekowi z duszy pierwiastki religijny i moralny, pozbawić idei, a następnie wychować na niewolnika.

Cały świat cywilizowany patrzy na to, jak w Rosji bolszewickiej wyrasta już całe młode pokolenie, wychowane w duchu materialistycznym i ateistycznym. Na wschodzie Europy wyrasta drugi, obcy świat i staje przeciw Zachodowi. I właśnie w tych młodych pokoleniach pokładają całe swe nadzieje twórcy komunizmu rosyjskiego. To też młodzież jest elementem uprzywilejowanym w Sowietach, i to pod każdym względem. Nawet wysokie urzędy, przeważnie w instytucjach gospodarczych, są często obsadzone przez „komsomolców”. Nieraz spotyka się 17 letniego kierownika lub takąż kierowniczkę. „Komsomolcy” są też rodzajem elity społeczeństwa.

Zajmującą przeto będzie rzeczą przyjrzeć się bliżej, jak się przedstawia sytuacja w ich szeregach.

Wychowywani są bez Boga, bez moralności, w rozwiązłości pod każdym względem. I — rzecz znamienne! Zgnilizna duchowa nie zdołała całkiem rozłożyć dusz młodzieży sowieckiej. Są nawet poszlaki, iż w duszach elity „komsomolców” zaczyna się jakby nawrót do moralności. W młodej literaturze rosyjsko-sowieckiej odzywają się głosy, nawołujące do powrotu do moralności. Jaka bowiem może być przyszłość „komsomolców”, jeśli tak dalej pójdzie? I, aczkolwiek w państwie bolszewickim niemoralność jest dozwolona, niemal usankcjonowana, elita młodzieży zaczyna stawać na stanowisku, że bez moralności niema przyszłości dla „komsomolców”, a tem samem i dla państwa. A rzeczą jeszcze bardziej znamienne jest fakt, iż podczas ostatniej „czystki” w rosyjskiej partji komunistycznej wykluczono wielu członków za to, że zmieniali zbyt często żony.

A więc w duszy elity młodzieży sowieckiej zdaje się jakby budzić coś, co jest silniejsze od ogólnego rozkładu moralnego w bolszewji, coś, co jest dane duszy od Stwórcy, a czego siła, ani terror nie są w stanie zabić.

Drugim dodatnim objawem jest tam fakt, że walka z Bogiem i religją napotyka tam na coraz silniejszy opór. Pomimo szykan i prześladowań pozostałe świątynie są przepełnione w dni świąteczne, co całkiem szczególnie dało się zaobserwować podczas ostatnich świąt wielkanocnych. W licznych wypadkach robotnicy samorzutnie urządzają sobie domy modlitwy, lub robią zbiórkę na potrzeby religijne. Występy „urzędowych” bezbożników walczących, nacechowane niesłychanemi bluźnierstwami, cieszą się coraz mniejszem zainteresowaniem wśród szerokich mas ludności.

Słowem — religijność nie dała się wytepić, a przeciwnie z biegiem czasu, pomimo srogich prześladowań i burzenia świątyn, zachowuje się, a nawet wzmacnia.

I oto przyczyny, dla których krwawy Kreml nie znajduje spokoju. Obawia się, i nie bez przyczyny; gdyż Boga i idei nie można rozstrzelać!

Rewera.



Z T E A T R U

Zacznijmy od pisarza, który uchodzi podobno za zbliżonego do stanowiska katolickiego t. j. Hieronima Morstina. Wystawił on w Krakowie komedię współczesną p. t. „Dzika pszczola”. Sztuka odmalowuje pewien kompleks stosunków prowincjonalnych. Ośrodkiem jest zamieszany i kulturalny dwór ziemiański. Pan domu, namiętny badacz życia i obyczajów pszczół, z obojętnością naturalisty obserwuje dość powikłane erotyczne stosunki swego otoczenia, a ściślej biorąc swych dwu córek. Starsza jest prosto metresą czy konkubiną komisarza policji w powiecie, żonatego zresztą. Jest on typem nerwowo aktywnego człowieka, który nie wywiera właściwie głębszego wpływu na środowisko a swej władzy używa dla nieproduktywnej, chaotycznej działalności. Rozsadza go wigor, to też bez ujmy dla swych sił i swego ja może podolać względem dwu kobiet. Na tem stanowisku czysto „naturalnego” ujmowania rzeczy staje też pan domu, który, jako badacz przywykł niczemu się nie dziwić ani nie oburzać z punktu widzenia moralnego, gdyż wobec elementarnych zjawisk „przyrody” reakcje moralne „są bezcelowe”.

Troszkę lepiej, choć niewiele, przedstawia się romans drugiej córki. Zakochała się ona w studencie komunście. Jego teorie — ach mniejsza o nie, skoro chłopak działa na jej zmysły. Jak widzimy sprawa załatwia się też dość prosto, przez przyzmat pociągu seksualnego. Pan domu zapatrzony w swe ule i obyczaje pszczelego roju — przynajmniej wydaje się być o tem przekonany i z pczłazaniem, zaprawionem co najwyżej ironją, patrzy na to wszystko. Niestety, z punktu widzenia katolickiego taką moralną indifferencję musimy potępić kategorycznie.

Ze sztuk ostatnio wystawionych zasługuje na uwagę „Pygmaljon” G. B. Shaw. Sztuki tej, nie można brać zbyt serjo. Nie robi tego zresztą sam Shaw; naśmiewa się on z tych, którzy jego ane-gdotę zbyt poważnie traktują.

Historja jest dość prosta w swem założeniu, choć sztuczna i nieszczerza w tendencji. Prof. Higgins założył się, że z kwiaciarki ulicznej Elzy, zrobi damę salonową.

Rzeczywiście po 3 miesiącach Elza osiąga pewien poziom oglady, umie paplać o tem, i o owem, nosi gustownie suknię, rzuca powłóczyście spojrzenia. To nie jest jednak człowiek, to jest manekin.

Prof. Higgins nie ma sobie czego gratulować. Jego sukces jest połowiczny. Wysztychł conajwyżej blichtr i pustotę salonowego „człowieczeństwa”. Duszę w tak zewnętrznie uformowanego człowieka tchnąć może jakieś głębsze uczucie. Jeden z krytyków, Ant. Słonimski, twierdzi, że takim uczuciem jest miłość, i że Shaw podsuwa właśnie to rozwiązanie, wskazując pod koniec sztuki na możliwość związku profesora z jego uczennicą.

A więc znów seksum jako panaceum do ucłowieczenia rasy ludzkiej.

Shaw zresztą w ostatniem słowie stwierdza, że niema mowy o małżeństwie naszych dwu bohaterów, conajwyżej jakieś czasowe liaison. Dżuma salonowej pseudokultury działa zabójczo, a blichtr nie daje nic więcej po za pozorami. Godności ludzkiej nie stwarza.

Przejdźmy teraz do omówienia paru sztuk o pewnym zakresie czy zacięciu społecznem. Jest to komedia dość płytka Verneilla p. t. „Bank Nemo”. Mamy tu historję bajecznej kariery hochstaplera, który z woźnego wyrasta na dyrektora i właściciela banku. Spryt i brak skrupułów oraz trochę szczęścia, oto szczyble jego kariery, z której szczytów nie jest w stanie stracić go nawet ujawnienie jego szantażów i nadużyć. Sztuka kończy się konwersacją przez telefon prezydenta państwa z „kochanym naszym dyrektorem”, opatrnościowym mężem świata finansów.

Jest w tem dość bezceremonjalne wyszydzenie tego bagna stosunków społecznych, w których kongwistador giełdowy,

sprzedający akcje nieistniejących przedsiębiorstw, oszukujący na prawo i lewo, zażywa miru i czci.

Zresztą czyż jest w tem tak wiele przesady. Gdy Kreuger fałszował akcje włoskie, dwukrotnie zastawiał te same walory, gdy lord Deterding przemachłował na spekulacji srebrem dziesiątki, setki milionów, gdy Coty naraził rynek francuski na straty 720 milj. a amerykański naciągnął na 3 miljardy, to doprawdy niema już rzeczy, która mogłaby nas zdziwić.

Bruno Winawer w komedji „Poprostu truteń” podjął również temat oszustw finansowych. Grupa wydrwigroszów i ptaków niebieskich eksploatuje teren, na którym ma się rzekomo znajdować rad. Jako eksperta wynaleźli jakiegoś profesora chemji, figurę groteskową. Lecz jest to człowiek gołębko uczciwy.

Badania jego wykazały, że tereny rzeczywiście zawierają rad. Wiadomość ta działa jak piorun z jasnego nieba. Lecz myliłby się ten, kto by sądził, że właściciele terenu są szczęśliwi i zadowoleni; wręcz przeciwnie. Dla nich to odkrycie oznacza kres spekulacji na niby, kres naciągania ludzi.

Perspektywa normalnej przemysłowej eksploatacji, konieczność uczciwej pracy, przeraża ich. To nie jest ich fach — praca.

Biedny profesor zostaje na koszu, płacze się on wogóle ze swą prostolinijną moralnością, wśród tych szarlatanów, jak piąte koło.

Na cóż się przyda? A jednak zainteresowała się nim kobieta, która w poszukiwaniu męża stwierdza zresztą, że „byle truteń” wystarczy. Wybrała jednak trutnia z resztkami uczciwości w sercu. Nieomylny instynkt kobiecy powiedział jej, że wobec fikcji i oszustw wypełniających świat, jedna uczciwość i wrażliwość sumienia stanowi niezłomny kapitał dla rzeczy tak ważnej i poważnej jak małżeństwo.

J. Cz.

ROZMAITOŚCI

Chwalebny zwyczaj sylwestrowy w Japonji. — Koniec roku w Japonji, to ogólne hasło do płacenia długów i wyrównywania wszelakich wzajemnych należności. Pod rygiorem honoru, poczuwa się każdy Japończyk zakończyć rok skwitowaniem lub ugodzeniem się ze swym wierzycielem. Stąd długo wieczór są otwarte skle-

py i banki, aby dać sposobność dłużnikom uiszczenia się, co oczywiście odbywa się wśród swoistego ceremonjału i wylewu grzeczności i podziękowań wzajemnych. — U nas jest, niestety, przeciwnie, wielu tuż przed Sylwestrem i na Sylwestra właśnie zaciąga długi!

Odkrycie naukowe. — Prasa londyńska donosi o zdumiewających wy-

nikach angielskiej ekspedycji archeologicznej, która odkryła gruzy miasta Jerycho. Najwyższym historycznym wynikiem tej ekspedycji jest ustalenie daty wyjścia Izraelitów z Egiptu. Z odkrytych obecnie wykopalisk wynika, iż wyjście żydów z Egiptu przypadło na czas panowania króla Totmesa III-go, który od r. 1440 przed Chr. panował przez 53 lata.

Dział Kobiety

DLA DUSZY.

Pytamy, wiele kto czyni; lecz dla jakiej cnoty i z jakich pobudek czyni, na to nie zważamy.

Chcemy wiedzieć o każdym, czy mocny, czy bogaty, czy piękny, czy zręczny, czy dobry pisarz, czy tobrzy śpiewak, czy pilny robotnik; a mało kto pyta, jak dalece kto cichy, pokorny, cierpliwy, pobożny i wewnętrzny.

Człowiek pospolity patrzy na zewnętrzne przymioty, lecz człowiek napelniony łaską, ten wewnątrz wzrok swój obraca.

Tamten często się omyla, ten zaś, ażeby się nie omylić, w Bogu pokłada nadzieję.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

WYPOCZYNEK DLA SPRACOWANYCH W KAROLINIE

Czy są jeszcze tacy — może ktoś zapytać, co mają nadmiar pracy?

Istotnie, bywa ona nierównomiernie rozłożona. Ale, kto wie, czy właśnie pewno dla tego, bywa wielu takich, których myśl, obracając się z wytężeniem koło jej zdobycia, już — pracuje, ponad siły ludzkiej wytrzymałości i dochodzi do takiego wyczerpania, że w ciszy wypoczynku szuka odżywienia starganych nerwów. Dla takich właśnie jest przeznaczony Karolin.

Jeszcze w roku 1902 obywatel ziemski s p. Feliks Bobrowski, ofiarował „Towarzystwu pomocy lekarskiej i opieki nad psychicznie i nerwowo chorymi”, 20 morgów pod Warszawą gruntu z lasem, nazywając go dla pamięci zmarłej żony jej imieniem.

Członkowie towarzystwa lekarskiego, zakrzętnęli się koło zdobycia grosza i stanął jeszcze w r. 1909 gmach, kosztem 50 tysięcy rubli, na

którego wykończenie, znana filantropka, Eugenia Kierbedziowa złożyła hojną pomoc w sumie 40 tysięcy rubli, co uzupełniło całość i w roku 1911, uruchomiono zakład dla nerwowo chorych pod opieką kuratora dr. Dydzyńskiego.

Przyszła wojna.

Niemcy, Rosjanie lub Rosjanie i Niemcy z kolei zajmowali tę siedzibę dla swych potrzeb i bez potrzeby, niszczyli tak, jak wojna niszczyć umie. Wszyscyśmy na zgłiszczą po przejściu wroga patrzyli. Karolin został doszczętnie nieomal zrujnowany. Nie zrujnował tylko nikt, tak jak w całym kraju, tak i na tej 20-to morgowej przestrzeni, myśli opiekuńczej dzielnych ludzi. Wróg odszedł. A doktorzy zostali. Więc znów rażno do roboty. A chociaż już o hojne dary było trudniej i nie żądano pomocy ani pań-

stwa ani samorządu, kilkadziesiąt tysięcy zebrane wspólnym wysiłkiem doktorów w r. 1931 — pozwoliły na doprowadzenie do zupełnego ładu pięknego domu i wyposażenie go we wszystkie urządzenia niezbędne dla zabiegów lekarskich około nerwowo chorych ludzi.

Na czele stanął dzielny pracownik, nietylko w zakresie pracy zawodowej, ale i społecznej dr. Władysław Bruner, pełniąc obowiązki kuratora w nowo zainstalowanej siedzibie.

Niespożyta energia i niesłychana miłość, jaką czcigodny doktor Bruner otacza instytucję, młodzieńczy zapał, który rozrzuca hojnie wśród całego otoczenia, tworzy z tego domu istotnie błogosławione schronienie dla tych wszystkich, których nadmiar kłesk, spowodowanych coraz cięższymi warunkami bytu, pozbawia mocy opanowania swych nerwów.

W Karolinie znajdują oni, przy niezwykle niskich opłatach, czujną pomoc lekarską, troskliwą opiekę i ciszę tak niezbędną dla rozprężonego i nieposłusznego organizmu. Zakład ma doskonały dojazd wagonem kolejki elektrycznej: Warszawa—Grodzisk z ul. Nowogrodzkiej do stacji Otrębusy, skąd albo pieszej drogi 10 minut, albo, na uprzednie zamówienie, końmi.

Piękny dom — otacza las przerobiony na park, pod artystyczną ręką Zakolskiego.

A duży obszar zakładu pozwala na swobodę dla tych, którzy nie łakną towarzystwa. Nowo powstałemu zakładowi życzyć należy jak najlepszych rezultatów w ofiarnej pracy jego personelu, a chorym jak najszybszego uzdrowienia i skutecznego wypoczynku.

L. K.



Dom wypoczynkowy w Karolinie.

ZNAJ SWÓJ KRAJ

Jestem srodze zacofana, pisząc te słowa, bo nowe pokolenie woła już inaczej. Woła:

— Znaj swą planetę!

I ma słuszość.

W miarę postępów techniki zmalały przestrzenie. Znikł czas. Samoloty przenoszą nas w kilka godzin tam, dokąd na podróż zużywalismy doby. Udoskonalona komunikacja wodna zmniejszyła — ogrom oceanów. Dziś o podróży do Ameryki, mówi się z tą samą swobodą, jakgdyby nas czekała podróż do Radomia czy Lublina: parę tygodni... ba! kilkanaście godzin i już jesteśmy na drugiej półkuli.

A więc słuszenie woła Jerzy Braun — autor pięknej powieści p. t. „Cień Parakleta“, wydanej nakładem księgarni F. Hoesicka, „Znaj swą planetę“! i dodaje: „dziś jeszcze nikt ci nie każe znać innych, choć jest ich tyle w otchłannej przepaści niebios“. A zdziwionym nałożeniu tego nowego obowiązku mówi: „człowieka stać na to, by wiek po wieku nadawał sobie nowe prawa i był im, i własnej woli posłuszny. Człowiek jest twórcą swych obowiązków i któż mu zabroni na bramach swych stolic wyryć ognisty napis: „Znaj swą planetę“!

A tymczasem, nam dały te piękne słowa nakaz wołania: *znaj swój kraj, chociaż swój kraj!*

Tak mało go znamy, a taki piękny. Tylko wychylić się za mury domostwa, gdzie spojrzysz, cuda! Kilka godzin samochodem, po doskonałej drodze i... *Puszcza Białowieska* — otacza cię swą ciszą, pełną głosów natury i dzieła Bożego. Cichnie w tobie wszystko wobec ogromu natury. Wzmaga się tylko poczucie jej wielkości.

Znów — noc wygodnie przespana w wagonie i wi-

dzisz nasz własny skrawek *Baltyku* i klękasz z zachwytu nad ludzką pracą i wysiłkiem woli człowieczej — bo widzisz port w Gdyni, tej chluby naszych poczynań na drodze dobrze zrozumianej gospodarki kraju. A *Kartuzy*, kryjące w gąszczach leśnych błękity cichych jezior. A *góry Świętokrzyskie* z modrzewiowym lasem. A *Zakopane* z urokami śnieżystych szczytów i lasami na dolnych szczeblach. A *las w Rozewiu*, gdzie rośnie jarzab szwedzki. A *jeziro Wigierskie*, a uroczą *Czarna Hańcza*, której cuda z takim uwielbieniem rozmodlonej w jej czarach duszy, opisała Wanda Miłaszewska w swej uroczej książce. A *jeziro Trocokie i okolice Wilna*, tego szanica wysuniętego na wschód, a świadczącego o naszej prastarej kulturze. Nie mówiąc już o naszych miastach. *Kraków, Lwów, Poznań, Toruń, Grudziądz*, ze starymi śpichlerzami, *Chełmno ze Świeciem, Lublin...*

Wszystko to poznaj! Choćby co rok jedną miejscowość, już się rozszerzy i pojęcie o pięknie kraju i wzrośnie dlań miłość. Bilety okężne, ulgowe, ułatwiają wycieczki. Towarzystwo Krajoznawcze, które coraz bardziej rozszerza swą działalność nie odmówi ani planów, ani mapki, ani informacji, niezbędnej dla podróżnika. Tu i owdzie znajdziesz niezawodnie braki, jakich unika się, zwiedzając zagraniczne miejscowości — ale wszystko się przebaczy, bo wszystko wyda się drobne wobec wielkości natury. Więc, zanim poznasz „swą planetę“, od czego nie odwodzę nikogo, staraj się poznać *swój kraj*, który tego wart i który ma dla nas źródła niewyczerpanej radości życia, byleśmy chcieli i umieli je brać i z nich czerpać siły wśród dni wypoczynku — dla dni pracy.

L. Kotarbińska.

URLOP PANI DOMU

Uznalismy już wszyscy konieczność odpoczynku po trudach całorocznej pracy, choćby przez przeciąg dwu tygodni — raz do roku. I stosujemy ją dla wszystkich z wyjątkiem jedynej grupy społeczeństwa kobiecego, której na imię — panie domu. O wypoczynku dla nich nigdy się ani nie myśli, ani nie dyskutuje, bo one są paniami swego czasu, którym rozporządzają wedle woli i uznania. I dzięki właśnie tej pozornej swobodzie i niezależności nie umieją, a często nie mogą okroić s o b i e choćby tylko onych dwu tygodni na rok. Czyżby ten stan rzeczy miał być utwierdzeniem dotychczasowego poglądu, że kobieta w domu nie ma nic do roboty? Dziś, zdaje się, nikogo o wartości pracy kobiet w gospodarstwie domowym przekonywać nie należy. Raczej upewnia to w mniemaniu, że dotychczasowe pojęcia o ochronie pracy ludzkiej posiadają wielkie niedociągnięcia, które ujawnia samo życie. Gospodarstwo domowe jest maszyną precyzyjną, bardzo skomplikowaną. Puszczona w ruch umiejętną dłońią, może iść długo sprawnie, lecz wymaga stałej i uważnej kontroli. Z tego wynika, że urlop pani domu stać się może i powinien źródłem nowych energii i radości życia, a zatem i lepszego usprawnienia dnia codziennego. Trzeba tylko, aby ogólnie uznaną była potrzeba wprowadzenia tych urlopów dla pań domu i aby umożliwić osiągnięcie ich drogą wspólnych wysiłków domowników. Narzucenie nowego porządku choćby w dziedzinie praktycznej codzien-

ności, nie przychodzi łatwo. A jednak są kraje, w których już wcielono w program życia oszczędzanie sił pani domu. Niezmiernie uregulowanym życiem gospodarzem odznacza się Szwecja i ona pod wieloma względami przoduje Europie. Tam rzeczą powszednią są już domy odpoczynkowe dla pań domu, wyłącznie na ich potrzeby obliczone i otwarte rok cały.

W domu odpoczynkowym można nietylko spędzić zdrowo i przyjemnie miesięczny lub dwutygodniowy urlop. Można przebyć okres rekonwalescencji po jakiejś chorobie, można wzmocnić się nerwowo przez stosowanie zabiegów hydropatycznych, używanie sportów i t. p. Co więcej, można w ciszy i skupieniu napisać pracę naukową, obmyśleć plan roboty, słowem, zyskać te warunki i dla pracy i dla zdrowia, jakich w domu nigdyby się nie osiągnęło, przy drobnych a niezbędnych zabiegach ładu, członkowego czas bezpodzielnie. Aby uzupełnić pojęcie o organizacji gospodarczej kobiet szwedzkich, należy dodać, że to one właśnie zawiązały stowarzyszenie t. zw. *S i ó s t r g o s p o d a r s k i c h*, których członkinie rekrutują się z wykwalifikowanych gospodyń, wychowawczyń, pielęgniarek w jednej osobie.

Siostry gospodarskie przychodzą z pomocą paniom domu w różnych wypadkach. Gdy trzeba założyć nowy lub zreorganizować stary dom rodzinny, gdy pani zachoruje, wyjedzie, lub gdy normalny tryb życia danego domu

Bielizna biała jak śnieg

Przewaga Radionu nad innymi samopiorącymi środkami polega na tym, że nadaje bielej niż śnieżno-biały połysk. Ale najważniejsze jest to, że pranie Radionem odbywa się bez żadnego wysiłku i obawy, że bielizna zostanie zniszczona. Radion usuwa brud bez tarcia i szcztokowania.

Zwracajcie więc uwagę na nazwę Radion, a opłaci się Wam to z pewnością.

Pranie Radionem jest bardzo łatwe.

RADION
sa chroni bieliznę

RP1-32

Wystarczy:

- a rozpuścić w zimnej wodzie
- b gotować 20 minut
- c płókać w gorącej, potem w zimnej wodzie

zostaje z jakichkolwiek bądź powodów wytracony z równowagi. Wówczas zjawia się wezwana siostra gospodarska, zastępuje panią, ujmując czasowo ster gospodarstwa w swoje ręce. U nas niema ani siostr gospodarskich — do różnej pomocy w chwilach prawdziwej potrzeby, ani domów odpoczynkowych dla kobiet. Nie upoważnia nas to jednak do zupełnego zrezygnowania zarówno z tych dobroczynnych instytucyj, które, prędzej czy później, powstać u nas muszą, ani tem więcej z realizacji urlopów dla pań domu.

Nie będziemy tu roztrząsać warunków racjonalnego odpoczynku kobiet dobrze sytuowanych finansowo, bo one z pewnością same sobie doskonale przemyślały i zorganizują jak najmilsze wywczasy. Nam chodzi o te całe zastępy kobiet, matek, które jeśli nawet wyjadą na wieś ze swemi dziećmi, to nie dla odpoczynku własnego, lecz właśnie dla zabezpieczenia dzieciom jak najlepszych rezultatów z okresu wakacyjnego. A matki tych, którzy korzystać będą z kolonij, a nawet półkolonij, czyż one pomyślały o sobie? Gdyby im kto tę myśl podsunął, poczułyby tylko rozgoryczenie. A jednak niesłusznie. Bo nawet w najcięższych warunkach można tak zorganizować dzień powszedni, aby w nim znalazły się choć dwie godziny czysty i spokoju, kompletnego wytchnienia, poprostu bezmyślnej

bezczynności, która wyposaży w nowe źródła energii nasze mięśnie i nasze nerwy.

Tylko trzeba, aby to zrozumiało otoczenie. Matka wypoczywa. Śpi, leży, czyta, robi robotkę, czy siedzi beczynnie, wszystko jedno; czas ten dwu czy trzech godzin po południu do niej należy. Nie wolno się do niej zwracać z drobiazgami, ze skargami, z żądaniem jedzenia, uczesania, pomocy w lekcjach. Przecież ta matka mogłaby wyjść i przejść się na świeżem powietrzu. Nie poszła, bo niema komu powierzyć opieki nad domem, nad dziećmi. Niechże więc te dzieci umożliwią jej chwilę odpoczynku, aby w nagrodę zato mieć zawsze matkę wyrozumiałą, uśmiechniętą, pobłażliwą, a nie zgryźliwie gderającą lub opryskliwą, co często wynika z jej przecpracowania i znużenia.

I na wywczasach letnich, na wsi, stosujmy ten system zdobywania sobie przemocą godziny wypoczynku, a z tych godzin należycie zużytkowanych zbierze się choć częściowy urlop pani domu.

• Niechaj to będzie dobrem zapoczątkowaniem nowej idei, której wprowadzenie w życie da nieocenione korzyści zarówno jednostkom, jak i ogółowi kobiet i tym, którzy z niemi współżyją.

Marja Ankiewiczowa.

MILJONY KOBIET...

Jaki mają w tej chwili nakaz moralny?

ZAPISYWAĆ SIĘ NA CZŁONKINIE „SEKCJI KOBIECEJ” PRZY LIDZE MORSKIEJ I KOLONJALNEJ!

Co uratowało kraj przed barbarją bolszewicką?

Wspólny wysiłek.

Morze,—te płuca kraju, zapewniające swą normalną działalnością—zdrowie i rozwój ojczyzny—wymaga opieki i pracy dlań—całego społeczeństwa.

Są miliony kobiet, rozumiejących doniosłość sprawy, ufamy, że ich nie zabraknie w szeregach „SEKCJI KOBIECEJ, LIGI MORSKIEJ I KOLONJALEJ”.

Adres biura: Nowy Świat 35, Warszawa.

Wszystkie, WSPÓLNYM WYSIŁKIEM, musimy służyć sprawie utrzymania naszych praw na Baltyku.

R.

WYCIECZKA DO OLBRZYMA RADJOWEGO W RASZYNIE

Zarząd Polskiego Radja krząta się, z niebywałą energią, koło uświadamiania szerokiego ogółu o wysiłkach pracy na swym terenie.

Wielokrotne zebrania z zaproszonymi gośćmi w Centrali Warszawskiej, dostarczanie prasie stałych rzeczowych wiadomości o rozwoju w dziedzinie swej działalności, pracą nad ciągłym ulepszaniem wewnętrznej struktury aparatów odbiorczych, wreszcie troskliwość o bezpośredni kontakt z publicznością, są otoczone najwyższą troskliwością zarządu i wydają też doskonałe rezultaty. Świadczy o nich sieć anten opasujących każdy dom miejski, niby nic pajęczka, po której cienkich nitczkach, spływa wieść z całego świata, do każdego, kto jej spragniony.

Niema już dziś osamotnienia. Mała słuchawka informuje, poucza, rozwesela. Przynosi — rezultaty ludzkiej pracy, talentu, ku uciesze tych właśnie, którzy inaczej, nie mogliby się cieszyć braniem udziału, w ucztach, jakie dają dorobki ludzkiego intelektu.



Uczestnicy wycieczki.

W tej chwili notuję wrażenia z prześlizgnięcia wycieczki, na którą Polskie Radjo — zaprosiło redaktorki pism kobiecych i dziennikarki.

Wygodny autokar miejski, zawiózł nas z Centrali Radja przy ul. Zielnej, gdzie oglądałyśmy skomplikowane aparaty, oszałamiające precyzją swej struktury, do Raszyna, największej na świecie radjostacji.

Oczywiście, trzeba mieć pewne przygotowanie, aby zrozumieć skomplikowane wysiłki techniki przedziwnych aparatów, kótek, śrubek, lamp, koło których, mimo przystępnego wykładu dyrektora, chodziłam jak zupełna analfabeta, podziwiając moje młode koleżanki, na których już było znać wyższe wykształcenie, co stwierdziłam, po zadawanych przez nie pytaniach. Więc; rozumiałam — mało. Widziałam — dużo. A wycuciem — wielkości dzieła, niezawodnie równałam się z temi nawet, które rozumiały dobrze ten wysiłek ludzkiego umysłu.

Dwieście pięćdziesiąt metrów wżwyz wyciągnięte budowy, które lekkością struktury lecą w niebiosy, kilka lin, podtrzymujących ich równowagę i tuż, obok, niewielki budyneczek, przesycony prądami elektryczności, stąd — nakaz: „nie dotykać niczego” — oto wszystko. A ileż tam myśli, pracy, geniuszu ludzkiego.

Cud — cudów, powtarzałam sobie oszołomiona tem, na co patrzę.

To też niewypowiedzianą wdzięczność czułyśmy wszystkie dla miłej inicjatywy, dającej nam te wrażenia, tem więcej, że p. Marja Ankiewiczowa, pierwsza dotąd, na całym świecie, kierowniczką odpowiedzialnego działu kobiecego w Radjo, z pp. red. Strzetelskim, Piotrowskim i Frenklem towarzyszyli nam stale. A w karczmie, pamiętnej kiedyś postojem ks. Józefa Poniatowskiego, gościnnie częstowali — jajecznicą z kiełbasą, co po tylu wrażeniach dla ducha — mile przyjęło — ciało. „Tak się to wszystko plecie, na tym tu Bożym świecie”.

L. K.

ZDOBIĆ BALKONY—TO ZDOBIĆ MIASTO

Najpiękniejsze mieszkanie — bez roślin, zieleni i kwiatów — będzie zawsze suche. Najpiękniejsze ulice — bez drzew — ponure. Domy, na których balkonów nie zdobiją kwiaty — opuszczone. Te, poprzylepiane na murach, żelazne koszyki — proszą się, żeby je wypełnić życiem. Inaczej wyglądają — jak zapomniane gniazda. I właśnie o tem powinna pamiętać każda — pani domu.

Tem więcej, że taki mały koszyk po brzegi: zdobny jeśli nie w kwiaty, co kosztuje, to bodaj w zieleni, która prócz starania, nie kosztuje prawie nic, przynosi cały szereg radosnych chwil.

Każde spojrzenie w okno — to przyjemność, bo z za niego śmieją się do nas roślinki, które, za dobre starania, płacą bujnym rozrostem. A każde zetknięcie bezpośrednie

z naturą, to zbliżenie ze Stwórcą i Jego wielkim dziełem, pełnem cudów i niewyczerpanych tajemnic.

Najprostsze i najtańsze ozdobienie balkonu, to obsadzenie go winem. A jeśli i to za kosztowne, bo wymaga drewnianych szufladek, to obstarwić doniczkami i obsadzić fasolą kwitnącą, kładąc ziarenka w różnych terminach tak, żeby kiedy pierwsze już zaczęły więdnąć — później zasadzone, dotrzymały zieleni do jesieni. Pod doniczki konieczne są podstawki, dla ochrony przechodniów, którzy słuszenie nie lubią, jak im woda z balkonów płami ubranie. Kilka doniczek fasoli oplecie cały balkon zielenią, miłą i dla nas od wewnątrz i dla oka sąsiadów czy przechodnia na zewnątrz. Polecamy więc zdobienie balkonów, jako ozdoby, domu i miasta, a cząsteczkę radości, o której wydobycie z życia, zawsze dbać należy.

R.

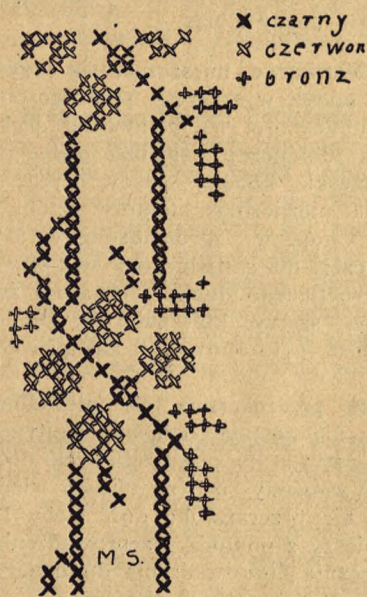
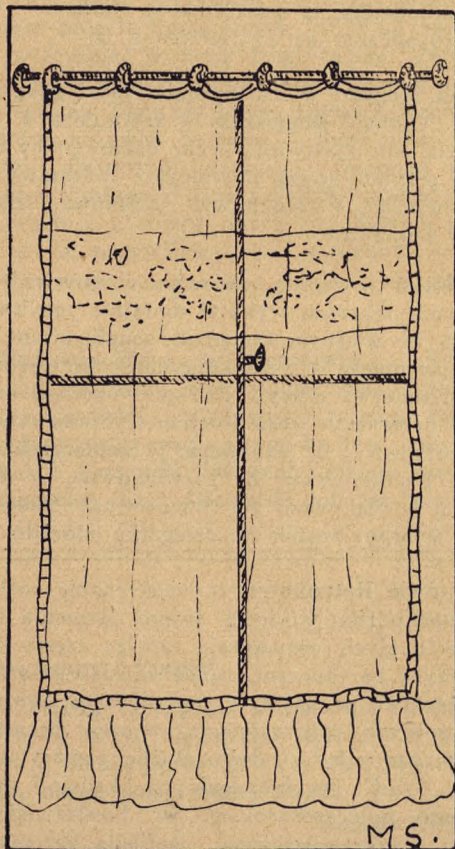
ZASŁONY DO OKIEN

Jasne, promienne słońce ożywia świat cały, budzi wiosną z uspienia drzewa i kwiaty, uzdrowia chorych i smutnych.

Niekiedy jednak siła jego promieni jest zabójcza, gdyż nie zna ono dokładnie organizmu poszczególnych jednostek ludzkich, czy roślinnych, świeci zarówno wszystkim silnie i radośnie.

A jednak! koniecznie trzeba niekiedy przyćmiewać siłę jego promieni, chronić oczy od zbyt dużego blasku. a kwiaty pokojowe, zwłaszcza w chwili, gdy są spryskane świeżą wodą. Każda kropelka wody na liściu łamie promienie słoneczne jak pryzmat, soczewka, może więc wypalić dziureczki i zniszczyć całą roślinę.

W tym celu zawieszamy w oknach firanki i zasłony, którymi możemy odpowiednio regulować światło. Zasłony takie mogą być zrobione z rozmaitych materiałów i odpowiednio przyozdobione. Powinniśmy jednak dbać o to, by barwa zasłony działała zdrowotnie na oczy ludzkie. Wszelkie tak modne obecnie, od żółtych



do pomarańczowych, zasłony są zabójcze dla oczu ludzkich, zwłaszcza, jeżeli chcemy czytać lub szyć przy tem świetle. Wszystkie meble, dywany, obrazy, wyglądają jakby przyprószone popiołem. Unikajmy więc tej barwy, a użyjmy lepiej białe, lub szare płótno, które może być również bardzo cienkie, a zarazem nieprzenikliwe. Ażeby zasłona była miłą dla oka, można ozdobić ją po bokach wąską mereżką, u dołu zaś dać falbanę marszczoną, przyszytą również mereżką.

Zadaniem naszym jest stosować wszędzie haft ludowy, barwny, lub biały, swojski i miły zarazem. Podajemy więc łatwy w wykonaniu wzorek krzyżykowy, który wyszyty był na samodziałowej koszuli kobiety wiejskiej, a kupiony na targu w Sanoku. Po dłuższej z nią rozmowie dowiedziałam się, że w każdy piątek

wynoszą one na targ swą starą, wyszywaną bieliznę, którą wykupują żydzi na szmaty do papierni i ścierki do szorowania.

Wzorek podany wyszyty jest czarnym, czerwonym i rdzawym kolorem.

Na samodzielnym wyszywać możemy podług nitek w tkaninie, do cienkiego zaś materiału użyjemy kanwy

szerokiej na dwadzieścia oczek. Musimy jednak uważać, by krzyżyki umieszczać dokładnie w tych samych otworach, również zwróćmy uwagę na to, by wszystkie wierzchnie nitki w krzyżykach zwrócone były w tę samą stronę, gdyż po wysnuciu kanwy niedokładność będzie razić i popsuje cały efekt.

Marja Stefkowa.

ECHA — Z UBIEGŁYCH DNI

W siedzibie „Tow. popierania przemysłu ludowego” otwarta jest stała wystawa wyrobów ludowych oryginalnych lub wyrobów artystów, tworzących w stylu ludowym. Wystawa mieści się we własnym gmachu, Tamka 4, i obejmuje wyroby: łowickie, huculskie, śląskie, poleskie, boli-mowskie, zakopiańskie i t. p. Ze wszech miar godną poparcia i zainteresowania się sprawa nie spotka się z obojętnością publiczną.

Rezerwatów w Polsce mamy już 92. Są one dziełem pracy „Ligi ochrony przyrody”, zawiązanej w 1928 r. na czele której stanęli prof. Szafer i W. Goetel. Rezerваты odznaczają się tem, że wolno je ludziom zwiedzać, ale niczego nie tykać. Jedynym ich Władcą i Gospodarzem — jest Pan Bóg. O przyrodę dbać musi każdy, kto się czuje obywatelem kraju, bo jej poszanowanie zwiększa nie tylko jego majątek, ale i jego piękno, z czego korzystać i czem cieszyć się może każdy z nas.

Muzeum Narodowe, mieszczące się przy Alei 3 Maja jest otwarte i mieści w skrzydle, przeznaczonym do zwiedzania dla publiczności — niebywałej piękności okazy z działy sztuki zdobniczej, wspaniałe meble, makaty, stroje kobiece i męskie, kolekcje pasów litych, szkła, srebra, oprawy książek, niezliczone klejnoty sztuki w gablotach. Pamiątki po Chopenie, zgromadzone w jednym dziale, ogląda się ze czcią dla genialnego a tyle sławy przynoszącego Polsce świetlanego ducha. Muzeum zwiedzać, prowadzić młodzież, szerzyć kult zbiorów, jako dokumentów naszej przeszłości — to obowiązek każdej rodziny polskiej.

Biała laska, przeznaczona dla niewidomych, którzy jednocześnie z nią dostają odnośną legitymację, okazuje się błogosławieństwem dla nieszczęśliwych, dotkniętych tem kalectwem. Wzmógł się ruch na ulicach wielkiego miasta, już ich teraz nie przeraża, bo dość, żeby ktoś zobaczył białą laskę, śpieszy z pomocą przeprowadzenia przez jezdnię lub bezpiecznie doprowadzenia do danego miejsca — niewidomego. Ludzi dobrych jest zawsze wiele i dużo wdzięcznych za danie im możności okazania tej dobroci.

„Narodowa Organizacja Kobiet” w Łodzi święciła uroczystość nowej siedziby. Poświęcenia dokonał ks. biskup Tomczak, gorącym słowem zachęcając do dalszej pracy pod hasłem: „Z Bogiem dla Ojczyzny”. Dzielną, energiczną, wytrwałą w pracy przewodnicząca p. Ładzina, dając sprawozdanie z działalności dotychczasowej, zapewniała — bez przyrzekania, niezawodny rozwój na tak ważnej placówce oddziału Narodowej Organizacji Kobiet w Łodzi. Niechże jej się szczęści we wszystkich, zawsze z dobrem sprawy naszej, złączonych poczynaniach.

„Echo Szkoły Pracownic Społecznych Polskiej Macierzy Szkolnej”, wręczyła mi jedna z uczennic, która z wielu innymi podczas wieczornicy delegatek Zjazdu Narodowej

Organizacji Kobiet, urozmaicała nam część koncertową ładną melodeklamacją. „Echo” — to kwartalnik, który poza wstępnym artykułem dr. M. Słowińskiej-Zarzyckiej, dyrektorki szkoły „O znaczeniu trylogii Sienkiewicza w życiu pracownika społecznego”, wypełniają artykuły uczennic szkoły. A więc — wierszyk udatny, ucz. kursu II, B. E. Ruszczykowskiej, „Kobieta w społeczeństwie dzisiejszym”, Hanny Gordziałkowskiej program do wykładu oświatowego, Bielickiej, kronika, wycieczka do Leśnej Podkowy, opis Andrzejek, którego motto brzmi: O Boże! daj męża!... pierwsze zebranie klubowe, zakończone tańcami — składają się na miłą treść, cechującą atmosferę szkoły, połączenia rzetelnej pracy, z niefrasobliwym humorem, swobodą i figlem pensjonarskim. Młodemu autorkom przesyłamy życzenia najlepszych rezultatów z ich zamierzeń i niezgaszonej niczem — radości życia.

Szpital dla narkomanów niebawem zostanie otwarty w Świątku, pod Grodnem, w województwie białostockim. Szpital pomieści 100 osób dotkniętych nałogowym używaniem alkoholu, lub innych trujących organizm narkotyków.

Pomiędzy Gdynią a Jastarnią i Helem została wznowiona komunikacja na pasażerskich statkach. Całkowity zaś ruch rozpocznie się 28 czerwca r. b.

P. Elli Megyeri w czasopiśmie tow. geografów węgierskich: „Globus” zamieszcza w artykule p. t. „W kraju Białego orła” entuzjastyczną ocenę naszej pracy wewnętrznej, dając przytem szereg ilustracji z Warszawy, Górnego Śląska, Wieliczki, Częstochowy, Krakowa, Zakopanego i brzegów Dunajca.

W Płocku „Związek pracownic domowych” na ostatnim walnym zebraniu wykazał dodatnie rezultaty z prowadzonych we własnym zarządzie: magli, pralni, jadłodajni, otaczając opieką — członkinie-emerytki i prowadząc — biuro pośrednictwa pracy. Po sprawozdaniu komisji rewizyjnej i uchwaleniu absolutorjum wybrano nowy zarząd, do którego weszły: B. Nawrocka, J. Siepierańska, M. Gzowska, A. Kudlikowska, Z. Józwiakówna, Z. Bednarska, M. Olecka, J. Flakówna, W. Stachowicz. Nadto H. Krysiakówna wybrana została na delegatkę oddziału płockiego.

Pogotowie Ratunkowe, ta niesłychanie zasłużona instytucja obchodziła 350-lecie swego istnienia i niesienia pomocy w nagłych wypadkach, ratując często od śmierci tych, którzyby bez doraźnej opieki musieli ginąć. Uroczyste nabożeństwo w katedrze, poświęcenie nowego samochodu pogotowia, ochrzczonego, na cześć prezesa dr. Zawadzkiego, który lat 35 pełni służbę samarytańską, jego imieniem „Józef”. Przemówienia na akademii pp. St. Miłaszewskiego, Sobieszcańskiego, dr. Piestrzyńskiego, Rutkowskiego, Krzyżanowskiego. Defilada karetek ratunko-

wych i otwarcie „wystawy tow. doraźnej pomocy lekarskiej — pogotowia ratunkowego”, której wstęgę przy otwarciu przecinał prezydent miasta inż. Słomiński — składały się na podniosłą uroczystość. Obecny na uroczystości

Pan Prezydent Rzeczypospolitej ofiarował 1000 zł. na ręce prezesa dr. J. Zawadzkiego. Suma ta przeznaczona będzie na fundację nowego samochodu pogotowia imienia Prezydenta Mościckiego.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Wandzie Lut... w Zamościu. — To jest sprawa tak zawiła do rozstrzygnięcia na łamach pisma, że tylko ogólnikowo możemy ją traktować. Są już i kobiety-sędziowie i ławniczki. Sprawa zaś przez Sz. Panią poruszona jest troską całego świata, bo źle, jeśli kobieta nie może iść z pomocą materialną mężowi, ale również źle, jeśli dla tej często problematycznej pomocy, zostawia dom i dzieci bez swej czujnej opieki. W tej chwili trwa jeszcze okres przejściowy. Życie, ten najpewniejszy regulator naszych spraw — rozstrzygnie i tę kwestję, bez szkody dla stron obu.

Pani Zofji Krog... w Mińsku. — Barbarzyńskie obchodzenie się małych szkodników z pięknymi drzewami obserwowaliśmy kiedyś w Truskawcu, miejscowości kuracyjnej, ślicznie utrzymywanej przez jej właściciela p. Jarosza. Dwaj chłopcy, ostremi nożykami wycinali niefrasobliwie kwadraty z żywego ciała drzewa — pięknej kory. Oczywiście, nie zachowaliśmy się biernie i dotarli do opiekuńczej ręki. Trzeba było widzieć oburzenie matek, źle wychowanych malców na nas, że „o takie głupstwo — robimy tyle wrzawy”. — Otóż wszystkie wezwania o ochronę przyrody, o nietępienie ptactwa, o dobre obchodzenie się ze zwierzęciem domowym, będą bezskuteczne dopóty, dopóki każda matka nie będzie przekonania, że zdeptanie zasadzonej roślinki, obłamanie korony drzewka, przekomarzenie się z psem czy kotem — to są „głupstwa”. To są zasadnicze pojęcia humanitarne, które od najwcześniejszych dni wszczepiać w nasze dzieci należy. Że malec Pani, sprawia jej w tym kierunku pewne niemiłe niepodzianki, niech tego Sz. Pani nie bierze zbyt tragicznie, przynosimy, niestety, na świat ze sobą — dużo wad, ale czegoż nie złagodzi i nie wytępi kochająca i rozumna matka, a z taką właśnie, wnosząc z listu Sz. Pani, mamy do czynienia. Duża miłość z równą miarą cierpliwości, dadzą niezawodnie, o ile, oczywiście, jakieś postronne wpływy nie będą niweczyły zabiegów Pani. Na koleżeństwo, radzimy zwrócić uwagę.

P. Wiesławie Plew... w Warszawie. — Rada opieki moralnej nad młodzieżą przy Magistracie w wieku szkolnym, której kierownicze stanowisko zajmuje czujny obywatel i oddany całą duszą swym na tem polu obowiązkom członek a przy tem doskonały znawca naszej literatury, p. mecenas Józef Śliwowski, od lat wielu rozwija

w młodzieży naszej nie tylko zamiłowanie do sztuki teatralnej, ale wyborem repertuaru, przyczynia się do rozwijania dobrego smaku tej kulturalnej rozrywki wśród młodzieży szkolnej. To też, o ile zawsze jesteśmy przeciwnikami przedstawień teatralnych dla małych dzieci, o tyle najszczerzej zachęcamy do nich młodzież szkolną. Małe dziecko, ma tyle do spostrzeżenia na świecie, że podsuwanie ich małym mózgom sztucznych podnięt, zawsze wydaje się nam zbędne. Te same podniety w zasadzie szlachetne, sztuki oparte na wysoce etycznych postulatach, jako szczepionki w umysłach młodzieży są niezawodnie pożytecznym pokarmem dla żywych i żądnych wrażeń młodzieńczych organizmów. Ceny miejsc na przedstawienia dla młodzieży są bardzo przystępne i nie marnuje się grosza, wydając go na tę rozrywkę.

Skrzytnej gospodyni w Mławie. — Adres „Związku Pań Domu”, Nowy Świat 9.

Pannie Michalince. — Prosimy o rękopis, przyrzekając dać szczerą odpowiedź. Dziękujemy za miły liścik, prosimy o takich więcej.

P. Marji Mokrz... w Leśnej Podkowie. — Prócz Kuznic jest jeszcze dla dorastających panienek Szkoła gospodarza przy zakładzie św. Ola'a matki Ledóchowskiej, pod Pniewami, w Wielkopolsce. Kurs jest tam jednoroczny i dwuletni. (Pozatem istnieje tam też seminarjum nauczycielek gospodarstwa z kursem 3-letnim). Zakład położony jest na wsi w zdrowej i ładnej okolicy. Praktyka rolnicza i ogrodnicza na miejscu. Dodatkowo mogą być lekcje języków obcych, muzyki, historii sztuki, malarstwa. O informacje bliższe należy się zwrócić pod adresem Zakładu — jak wyżej.

P. Janinie Mieszk... w Piotrkowie. — Możemy polecić letnisko p. Bochwicowej. Przyjmuje całe rodziny. Adres: p. Lachowicze, majątek Florjanów (k/Baranowicz). Przed laty pamiętne tem, że mieszkała tam co rok, całe lato, Eliza Orzeszkowa i stąd dużo osób z Warszawy, odwiedzających znakomitą pisarkę, zapoznało się z miłym otoczeniem, kulturalnym trybem życia i doskonałą kuchnią, prowadzoną pod staranną pieczę — pani domu, która i dziś zapewne, przy zupełnie dostępnych cenach, obfite i smaczne pożywienie.

A F O R Y Z M Y.

„Świat powojenny i Polska”.

Najważniejszą rzeczą dla przyszłości Polski jest, żebyśmy szybciej uczyli się, czego jeszcze nie umiemy — rządzić się, u siebie, prowadzić własne państwo i żeby za tę naukę naród polski mniej płacił.

Roman Dmowski

„Świat powojenny i Polska”.

Położenie nasze i wynikające z niego zadania są bardzo trudne, ale położenie to, nie jest beznadziejne. Tam gdzie rozum i wola może zaradzić, nie trzeba rozpaczać, jeno się zdobyć na rozum i wolę.

Roman Dmowski

KĄCIK DLA DZIECI

POMÓŻ MI!

— Pomóż mi, Kaziu, podlewać kwiatki — prosiła Małgosia.

— Nie mam czasu!

— A co robisz?

— Nic!

— No to pomóż!

— Kiedy mi się nie chce!

— Nie chce ci się pomóc mi, ale jak sobie z lekcjami nie dajesz rady — to mnie się chce tobie pomagać?

— Możesz nie pomagać, dam sobie radę!

— Zobaczymy!

I od słowa do słowa, wywiązała się gwałtowna sprzeczka, rozczewrzeni stali naprzeciw siebie jak dwa kogutki, co to już, już, a za czuby się wezmą. W tej chwili jednak odwołano Małgosię do domu i Kazio został sam. Stał chwilę, a potem wolnym krokiem skierował się w głąb ogrodu. Położył się na trawie i przeżuwał w serduszkach gniew na Małgosię.

— Pomagaj, pomagaj! Dobra sobie — mrucał — każdy powinien sam sobie dawać radę, że jej raz poprosiłem o pomoc w rachunkach, to zaraz wypomina.

— Co też ty Kaziu opowiadasz? — odezwał się cieniutki głosik tuż przy nim. — Obejrzał się Kazio, a tu na rączce siedzi mu mała mrówka, różkami rusza i prawi: Każdy sam sobie radzić powinien, ile może, żeby się ciągle na innych nie oglądał, to prawda, ale też jeden drugiemu w miarę sił i możliwości z pomocą spieszyć powinien, bo czego jeden nie zdolny zrobić, to gromada łatwo podoba — gromada, to siła. Znasz nas Kaziu. Cukru kawałek nam nieraz dajesz, a powiedz, czy mogłaby jedna z nas małych mrówek podobać takiemu ogromowi.

— No, niee... — powiedział chłopczyk — ale zawsze jest was tyle...

— A skąd ty myślisz tyle nas się bierze?

— Najpierw to jest jedna, przyjdzie obejrzy cukier, pobiegnie spotka drugą, dotknie jej różkami, potem jeszcze

jedną i jeszcze jedną, tamte znów przyprowadzają inne i potem jest was tyle, że cukru wcale nie widać...

— A widzisz Kaziu, to dotykanie różkami, to nasza rozmowa. A czyś widział kiedy, żeby mrówka wezwana przez drugą poszła sobie nie chciała jej pomóc. Popatrz się! Jedna moja siostrzyczka ciągnie igłę sosnową, nie może dać rady... zostawiła igłę, pobiegła... o widzisz wraca z drugą, ciągną we dwie... widzisz jak im lekko...

Prawda! Ale ja nie jestem mrówką — próbował bronić się Kazio.

— A czy myślisz Kaziu, że tylko mrówki tak robią, rozejrzyj się tylko po świecie, a ujrysz, że wszędzie w gromadzie — jedno drugie wspiera... ale dowidzenia, Kaziu, ja tu gadu, gadu z tobą, a tam robota czeka.

I szybko zsunęła się mrówka z Kazia rączki i zniknęła w trawie. Zerwał się chłopczyk i popędził do ogrodu. Małgosi jeszcze nie było. Chwytał polewaczkę i nuż podlewać grządki. Gdy Małgosia wróciła zastała Kazia kończącego jej robotę. Stała zadziwiona, a potem bez słowa rzuciła się braciszкови na szyję.

A gdy po pracy przyszła pora zabawy, opowiedział jej Kazio, czego go to mrówki nauczyły.

H. Rostafińska-Choynowska.

Joasi Michońskiej z Dąbrowej Rudy, dziękuję za ładny i długi list. Bardzo ładne zastosowałaś porównanie Jasiu, o kowalu, który kuje ogniwa łańcucha. Masz słusność, Wasze liściki, są właśnie temi ogniwami, które łączą mnie z Wami i dopomagają mi, pisząc, trafiać do Waszych serc i stęsnować się do Waszych upodobań.

Marysi Jordanównie ze Stanisławowa. Za przemiłe liściki serdeczny uścisk zasylam. Jola i Stach dziękują za pamięć i ślą buziaki.

WIOSENNA MUZYKA

*Zielenią się listki drzewa,
Na gałązkach ptaszek śpiewa
I cały świat rozśpiewany:
Łąki, lasy i polany.*

*Nad stawem żabek gromada
Bajki sobie opowiada...
Gada cały żabek tłum:
Kuma kum, kuma kum...*

*Ponad kwietne wonne łąki
Bucząc lecą wielkie bąki,
A pszczołek złotych gromada
Brzęczeniem im odpowiada.*

*I polnych koników gramie
Rozlega się hen, po łanie,
Z góry płynię w blaskach słońca
Skowronkowa pieśń bez końca.*

*A gdy wszędzie miesiąc biały
I utuli się świat cały,
To słowiczek zacznie w gaju
Nucić piosnkę swą o maju:*

*Że przyszła pani wiosenka
I już zimy się nie lęka...
O ptasiej doli, niedoli,
Co go cieszy, a co boli.*

H. R. Ch.

KWIAT PAPROCI

*Już zakwita kwiat paproci
W krótką noc świętego Jana.
Noc czarowna, noc wybrana,
W niej zakwita kwiat paproci,
Stubarunie się mieni, złoci...
Nie każdemu moc jest dana,
Aby zdobył kwiat paproci
W krótką noc świętego Jana.*

*A kto ujrzy raz jedyny
Kwiat paproci onej nocy,
Ten nabiera dziwnej mocy —
Kwiat kto ujrzy raz jedyny
W baśni czarownej krainy
Lekką stopą zawsze kroczy,
Kto zobaczy raz jedyny
Kwiat paproci — onej nocy.*

H. R. Ch.

Rozrywki Umysłowe

pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradzystów.

ZAKOŃCZENIE II KONKURSU KWARTALNEGO.

Termin nadsyłania rozwiązań trzytygodniowy (od daty otrzymania numeru).

5. KONIKÓWKA PODWÓJNA (7 pkt).

LO- cha!	po tach	ol- ba	Pa- ni,	tów ni-	nie- zie-	wień- lu-	O- za-
ta- chle-	Daj Niech	ZIE- N.K.K.	kwia- Dla	czym Dla	nie- ple-	kwia- ka	ła- mie
nom i ziar-	NE i du-	rze- kęs	zie- rol-	Przyjm Co	na uko-	fia- cie	Więc du,
ni, znój	To wiesz	ła- no,	ŚWIA- ła	sła- Two-	tych ob-	I w Pa-	świę- trze-
te- słu-	w zie- wy	le- się	ne, naj-	na cha!	to po-	nie! co	rę z fi-
Du- Ty	lo- le-	Świe- cha;	Ze- ich	TKi- i cią-	kwia- Daj	jest ba:	ne nie
le- zdro-	go praw	tki co	ros- tę	ko- dzaj,	dos- sy-	te dziom	ty, na.
Zie- piej,	cha Wszak	ni daj	Ra- tość	Świa- lu-	co czar-	ro- uro-	re Daj

Ruchem konika odczytać aktualny wiersz świąteczny (z nagłówkiem i skrótem autora konikówki). Początek i koniec w trzeciej kratce drugiego rzędu. Obejść należy najprzód górne sylaby, następnie przejść do dolnych.

N. K. Kozłowski czł. Kl. Sz.

6. SZARADA (3 pkt).

Już wiosna w pełni! jasne, ciepłe dzionki, —
Chóry ptaszce śpiewają wesoło, —
Na łąkach jaskry, kaczeńce i dzwonki, —
Pełno pierwszego-szóstego wokół, —

Wszędzie wre praca w zagrodach, na niwie, —
Tylko dwa-trzecie pracy nie uznają —
Dzień po dniu płynie im niefrasobliwie...
Trutnie ludzkości — darmo chleb zjadają!...

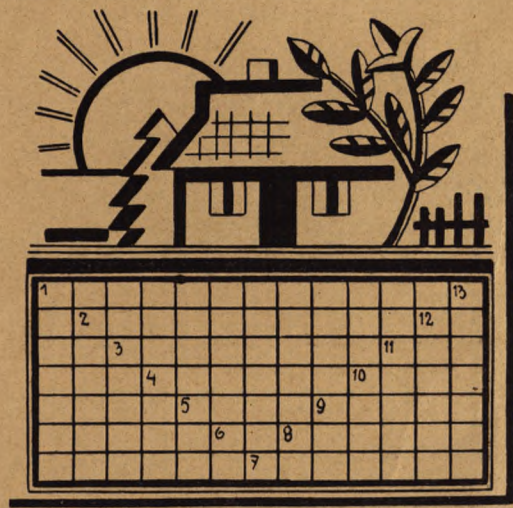
Wieczorami trzode młode parobczaki
Piąte i czwarte, strojąc przytem żarty ...
Do Jag i Kasiek smałą koperczaki,
W psotach figlując wodę drugie-czwarte...

Wesoło na świecie, — bo cate i lasy, —
Łąki kwiatami cudnie ustrojone,
Pełne powabu, tajemniczej kraszy,
Złotemi słońca blaskami spojone.

H. Mokrzycka czł. Kl. Sz.

7. LOGOGRYF (3 p.).

Należy odgadnąć 13 pionowych wyrazów 7-literowych o podanym znaczeniu, których litera końcowa jest jednakowa, natomiast początkowa każdego wyrazu jest inna. Litery w kratkach oznaczonych cyframi dadzą rozwiązanie.



Znaczenia wyrazów: 1. Wyznanie wiary. 2. Strażnik pilnujący czego. 3. Oddający list na pocztę. 4. Jarzyny (ogrodowizna). 5. Imię żeńskie. 6. Nabożeństwo 9-dniowe. 7. Samolub. 8. Czerep. 9. Jedna z główniejszych postaci trylogii Sienkiewicza. 10. Zakład prania bielizny. 11. Unieważnienie. 12. Warsztat tkacki. 13. Poczucie godności własnej. E. Miłowski.

8. PRZESTAWIANKA (po 1 pkt).

1. Syn + juta + koc = forma rządu.
2. Jar + Ewa + cel = wyjawienie.
3. Rue + tors + rata = zajmujący się odnowieniem czego.
4. Zan + pot + mir = stroniący od ludzi.

W każdym rzędzie należy przerzucić litery wszystkich 3 wyrazów tak, aby utworzyły jeden wyraz o podanym (w rezultacie) znaczeniu. Por. E. Kreyser czł. Kl. Sz.

9. SZARADKA — ZAGADKA (2 pkt.)

Z Ameryki najpewniej ów cały pochodzi,
Więc i sławny, i nieźle mu się też powodzi.
Że jest... mocny, to niechaj nikogo nie dziwi, —
Wszak zna przysmak z Helwecji, więc się drugim żywi.
Jest też... ciężki, — bo trunek popija nie inny,
Tylko pierwszy, ów nektar tak w Germanji słynny.

M. Waksmundzka czł. Kl. Sz.

10. ZAGADKA (2 pkt.)

Że nie odzież
zdobi „młodzież” —
prawda bez dysputy;

(Numerus clausus)

zdejm jej czapkę — buty, —
a jeszcze tam zostają
„barki” co chyżo pływają.

N. K. Kozłowski czł. Kl. Sz.

SKRZYNIKA POCZTOWA.

WP. Czerniawski St. Turmont. Z radością witamy nowego uczestnika naszego konkursu. Nadesłane próbki rozwiązań zupełnie udane i prosimy o stałe nadsyłanie takich „próbek”.

WPP. Staboszewiczowa F. Poznań, T. Kotowicz — Eysymont Ohyka. Udatnie pomyślane wierszyki aktualne zamieścimy wraz z innymi w rozwiązaniach. Prosimy o dalszą pamięć.

Klub Szaradz. „Enigma” w Poznaniu na W. Z. rocznym dnia 14 marca b. r. ukontynuował się na r. 1932/33 następująco: prezes: E. Miłowski, wicepr. S. Effert, sekr. L. Lenartowski, skarb. W. Korylewicz, gosp. i bibl. A. Braun, kom. rewiz. J. Henke, S. Trzos i W. Kurowski. Pozaatem nadano godność członków hon.: inż. S. Jeleńskiemu, prof. J. Henkemu radcy s. M. Fontanie i E. Miłowskiemu.

Miłośnikom „Rozrywek umysłowych” polecamy gorąco działą rozrywkowe przez członków Klubu Szaradzystów prowadzone, mianowicie w warszawskim miesięczniku „Echa Leśne”, tygodniku „Rara Avis”, oraz w poczytnym dzienniku lwowskim „Słowo Polskie”, — udzielającym szaradziom ulgi.

WP. Tyblewski W. Poznań. Z radością witamy nowego prenumeratora R. P. a zarazem uczestnika naszego działu. Termin nadsyłania rozwiązań liczy się od daty otrzymania numeru, a więc... wszystko w porządku.

WP. Nowackówna J. Starosielce. Dla zadowolenia różnych gustów musimy zamieszczać zadania rozmaitych typów. Starać się będziemy jednakże życzenie Sz. P. spełniać możliwie najjeęściej.

M. Śl.

Dzieci amerykańskie o swych radościach i troskach.

Niestudnie zwykło się w Europie mówić o Amerykanach, jak o ludziach żyjących życiem zmechanizowanym, beznadziejnych materialistach, zrywających się tylko od czasu do czasu po prostaku ku abstrakcji. Takie uogólnianie i upraszczanie sądów o Amerykanach nie może dać głębszego obrazu życia Nowego Świata.

Mówi się, na przykład, że radjofonia amerykańska jest niczem innym, jak przedsiębiorstwem mówionej reklamy. Że tak nie jest, świadczą ostatnie posunięcia w amerykańskim świecie radjowym, dążącym wyraźnie do wnikięcia w potrzeby nie tylko materjalne swego wielomilionowego audytorjum, ale objawiającym dużą dbałość o potrzeby duchowe. Tą stroną działalności radjofonii amerykańskiej, stara Europa interesuje się istotnie mało, przywykła patrzeć na Amerykanów, jak na beznadziejnych businessmenów. Tymczasem, taka np. wielka organizacja radjofoniczna, jak National Broadcasting Company, jest bardzo wrażliwa na sprawy wychowania. Słusznie też zwraca baczniejszą uwagę na światek swych najmłodszych słuchaczy — na dzieci i młodzież. Okazuje się, że liczne stacje Towarzystwa N. B. C. prowadzą od lat 10-ciu studia nad stosunkiem najmłodszych do programów radjowych.

Badacze duszy „przyszłego człowieka”, jak nazywają dzieci i młodzież, kierownicy amerykańskich programów dziecięcych, zebrali wcale obfity materiał, pozwalający zorientować się w „opinii” najmłodszych. Rozpisano tedy całą ankietę, na którą dzieci odpowiadały tysiącami listów wyjaśniających, co lubią i dlaczego? Psychologicznym rozbiorem tej ciekawej literatury zajęli się doświadczeni pedagodzy, wychowawcy i rodzice, tworzący liczne ciało „godziny dziecięcej”. Nie bez znaczenia jest tutaj fakt, że większość listów pisały naprawdę dzieci, nie ujawniające swego maluczkiego „ja”.

Najbardziej entuzjastycznie wyrażają się dzieci amerykańskie o dziele programów dziecięcych, noszących nazwę „Pani z sąsiedztwa”. Jest to dział programowy, w którym dzieci grają dla dzieci. Do działu tego nadeszło pewnego dnia od dzieciarni amerykańskiej przeszło 600 listów. Wynika z nich, że udział dzieci w słuchowiskach, podnosi w opinii najmłodszych słuchaczy urok audycji, czyni z niej całość pochłaniającą uwagę słuchacza, pobudza wyobraźnię. Słowem — kształtuje pojęcia słuchacza o rzeczach, zdarzeniach i ludziach, takich, jak on albo jeszcze większych i zupełnie dużych, jak sam tatuś, mama lub bardzo starych, jak dziadek. Z odpowiedzi na ankietę wypływa również, że dzieci pożądamy tematów łatwych, takich, w których jest dużo sposobności do uśmiechania się, opowiadania o przygodach, o zdarzeniach tajemniczych, bajecznych. Prawie wszystkie chciałyby być tam, gdzie się rzecz dzieje i także, jak ich rówieśnicy, brać udział w akcji.

Tysiące listów nadsyłają dzieci amerykańskie na intrygujące pytania, gdzie i jak mógł się ukryć mały Tomek zabłąkany w lesie i goniony przez

krasnoludków; gdzie ukryli korsarze skarb z rozbitego okrętu, na wyspie zamieszkałej przez ludożerców. Żywo, ale nie na długo, interesują się dzieci programem, o dążeniu pedagogicznym, usiłującym pobudzić spostrzegawczość słuchacza, któremu obiecuje nagrody za trafne odpowiedzi.

Dzieci amerykańskie wypowiadają się również krytycznie, co do niektórych kierunków w programach: na przykład są przeciwne używaniu radja do prawienia im perorów, mówienia o nieprzyjemnych karach albo narzucaniu w sposób, jak sobie wyobrażają starsi, bardzo subtelnym, tego, do czego dziecko nie ma zupełnie pojęcia albo czego zgoła nie lubi.

Z owoców tej ciekawej ankiety, radjowy wychowawcy dziecka i młodzieży — pedagodzy i opiekunowie — zacerpnęli obfity materiał dydaktyczny.

Polskie Radio, posiadając rozwinięty dział dziecięcy, w którym współpracują wybitne siły pedagogiczne i literackie, nawiązało w równej mierze jak w Ameryce bezpośredni kontakt ze światem dziecięcym. Młodociarni radjostłuchacze nie tylko posiadają swoje programy, ale także i w listach, kierowanych do Wydziału Dziecięcego P. R. wyrażają swoje sądy i żądania, które są brane przez Kierowniczkę tegoż Działu, p. Wandę Tatar-kiewicz-Małkowską pod uwagę, aby zadośćuczynić wymaganiom najmłodszych radjostłuchaczy.

Raszyński olbrzym radjowy.

Wybór miejsca pod budowę radjostacji raszyńskiej padł na teren, znajdujący się na południe od Warszawy, przy szosie Warszawa—Grójec, w odległości 24 km. od centrum miasta. Odległość ta była pożądana, by stacja o tak wielkiej mocy nie przeszkadzała w Warszawie odbiorowi na aparatach lampowych stacji zagranicznych. Obszar zajęty przez stację wynosi 18 ha 3218 mtr. i był potrzebny do ustawienia 2-ch masztów odizolowanych od ziemi, każdy wysokości 200 mtr. Maszty te o profilu czworobocznym stanowią ostatni wyraz budowy masztów antenowych i są u podnóża zakończone kulami o średnicy 20 cm. Są one trzy razy wyższe od Kościoła Zbawiciela w Warszawie.

Każdy maszt wspiera się na łożysku wkłesłem, ustawionem na 12 izolatorach, w rodzaju małych beczulek o średnicy 15 cm., które są ułożone w dwóch warstwach. Zakończenie masztów w formie kuli, służy do umożliwienia drobnych uchyleń masztów od pionu bez wyrządzenia szkody izolatorom. Maszty oddalone od siebie na 280 mtr. są utrzymywane w pionie przy pomocy lin stalowych specjalnego wykonania. Każdy maszt podtrzymywany jest 12 linami, które są umocowane do 6 fundamentów cementowych, o objętości około 22 mtr.³ każdy, ustawionych w trójkąt i oddalonych w 2-ch rzędach o 90 i 140 mtr. od masztu. Liny stalowe do masztów były wykonane na miejscu i są tem ciekawe, że składają się z 50—60 drutów stalowych o średnicy 4 mm., ułożonych wzdłuż i nieskręconych, tylko połączonych w pewnych odstępach

w poprzek innym drutem. Tego rodzaju budowa lin w odróżnieniu od zwykle stosowanych skręconych, prawie wyklucza możliwość wyciągania się liny.

Liny te przy masztach i fundamentach są zakończone specjalnymi głowicami i umocowane do łańcucha izolatorów.

Waga jednego masztu wynosi około 90 tonn, zaś liny do niego około 30 ton. Olbrzymia energia wypromieniowana przez antenę, indukuje w linach podtrzymujących maszty prąd o napięciu, które wynosi względem ziemi około 1000 woltów.

Antena stacji rozpostarta między masztami ma kształt litery „T”, składa się z 4-ch grubych linek poziomych i 4-ch drutów pionowych. Podnoszenie i opuszczanie anteny jest uskuteczniane przy pomocy dwóch dźwigarek, umieszczonych wewnątrz masztów u ich podnóża. Na wypadek osiadania sady na drutach antenowych, co ujemnie wpływa na wydajność anteny, jest ona rozgrzewana przy pomocy specjalnych transformatorów. Całkowite rozgrzanie anteny trwa kilka minut. Prąd dla stacji dostarcza Elektrownia Okręgu Warszawskiego, która na terenie stacji wybudowała swą podstawę elektryczną na 35000/5000 v. mocy 1000 kW. Pobór mocy stacji wynosi około 750 kW. i przy obecnym czasie trwania programu zużycie energii przekracza 200.000 kW. miesięcznie, a więc w ciągu roku przeszło 2.500.000 kW. Z pośród lamp nadawczych największe są lampy chłodzone wodą, z których niekóre typy 100-kilowatowe mają wymiary zewnętrzne 1080 mm. × 170 mm. i waży 9.75 klg. sztuka, a kosztują po zł. 25.000. Dla szybkiej wymiany tych lamp w aparaturze montuje się je uprzednio na specjalnych wózkach, na których są wtaczane do właściwej części nadajnika. Dla tych lamp istnieje specjalny system chłodzenia.

Dla chłodzenia wody obiegu zewnętrznego służy chłodnia kominowa 16 mtr. wysokości, podobna do używanych przez elektrownie. Wodę dla tego obiegu dostarcza studnia artezyska głęboka na 51,5 metr. o wydajności 90 ltr./min. Warto zaznaczyć, że poza aparaturą nadawczą, oraz prostownikami rtęciowymi, które prostują prąd zmienny na 14—15000 wolt prądu stałego, inne objekty stacji jak: tablice rozdzielcze wysokiego i niskiego napięcia, urządzenia ładujące z prostownikami, baterje akumulatorewe, przetwornice dla obwodu żarzenia lamp, dławiki do obwodu wygładzającego, urządzenia chłodnicze dla lamp, chłodnia kominowa, pompy wodne i rurociągi, materiały do uzimienia, kable wysokiego i niskiego napięcia, maszty — są wyrobu krajowego. Produkcja krajowa obejmuje blisko 40% urządzeń Raszyńska.

Stację nadawczą łączy ze studjami w Warszawie 3 pary połączeń, które częściowo w obrębie miasta i przed samą stacją idą w kablach, zaś poza granicami miasta przewodami napowietrznymi.

Aparatura nadawcza stacji stanowi ostatni wyraz radjotechniki i ma w swoim zastosowaniu niektóre lampy nadawcze specjalnie do potrzeb aparatury raszyńskiej wybudowane.